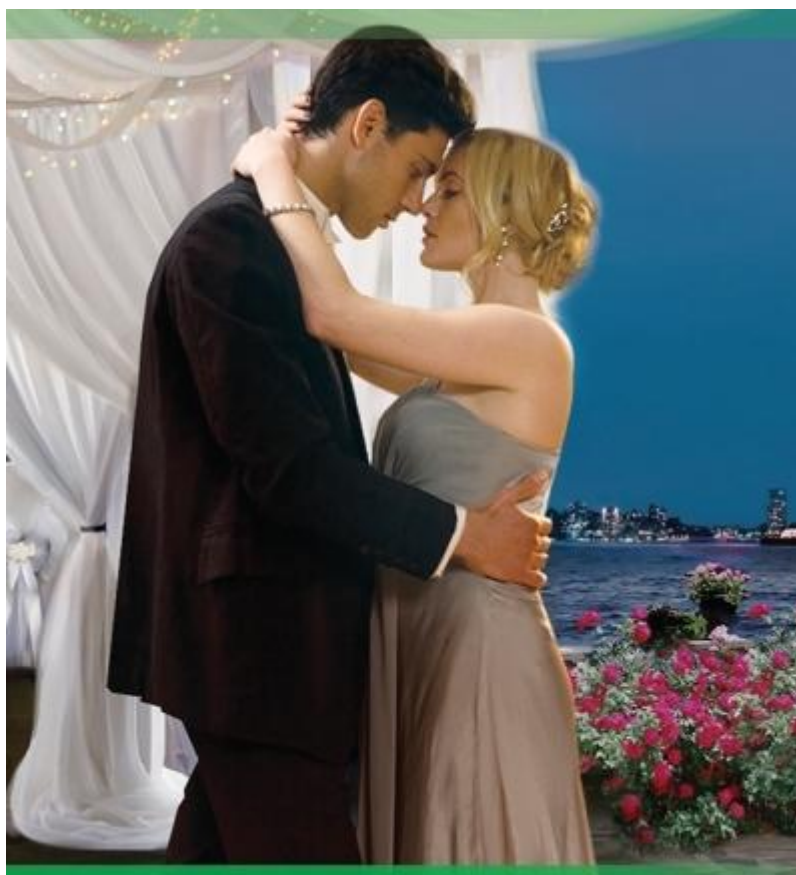




Jennifer Lewis



Gwiazda Wall Street

ROZDZIAŁ PIERWSZY

- Jesteś pewien, że to bezpieczne? - spytała Annie, wdrapując się za Sinclairem Drummondem po skrzypiących schodach na strych.

Całą siłą woli próbowała zmusić się, by nie wpatrywać się w jego barczyste plecy i koncentrować na tym, by trafić nogą w kolejny rozchybotany stopień.

- Ani trochę - odpowiedział, odwracając głowę i posyłając jej diaboliczny uśmiešek, od którego zrobiło jej się gorąco. - Tym bardziej że nad rodem wisi przecież klątwa.

- No trudno, zaryzykuję - odpowiedziała.

Sinclair Drummond był w końcu jej szefem, to jest dokładniej właścicielem posiadłości, w której Annie pracowała jako gosposia. Wprawdzie wchodzenie po schodach - które, nawiasem mówiąc, bardziej przypominały drabinę - w stodole stanowiącej przybudówkę liczącego sobie trzysta lat domu Drummondów nie należało do jej obowiązków służbowych, nie mogła jednak z tak błahego powodu się wycofać. Był zresztą jeszcze inny: lubiła przebywać w towarzystwie Drummonda, diabelnie przystojnego mężczyzny, o którym skrycie marzyła od sześciu lat, a który zaszczycał swą posiadłość na Long Island wizytą raptem dwa czy trzy razy w roku; przez resztę czasu panowała tu Annie, tyle że samotnie. I oto teraz miała znaleźć się sam na sam z tym trzydziestodwuletnim mężczyzną o kruczoczarnych włosach, na których nie pojawiło się jeszcze ani jedno pasmo siwizny, mimo dwóch burzliwych małżeństw i rozwodów, jakie Sinclair miał już na swym koncie. Sam na sam, a nawet na strychu. Annie zaśmiała się w duchu na tę myśl.

- Byłeś tu wcześniej kiedykolwiek? - zapytała.

- Tak, jako dziecko. Chowałem się tu, kiedy rodzice kłócili się ze sobą - odpowiedział, otwierając klapę wiodącą na strych.

Niewiarygodne, pomyślała Annie. Jakoś nie mogła sobie wyobrazić, by pani Drummond, ta pełna godności, stateczna, zawsze trzeźwo myśląca i opanowana kobieta była w stanie na kogokolwiek podnieść głos. No, ale Annie nie знаła przecież pana Drummonda; zginął wiele lat temu w wypadku samochodowym.

Sinclair włączył światło.

- Działa jeszcze... - wymamrotał, szczerze zdziwiony. - Wiesz, teraz dopiero przyszło mi na myśl, że od tamtego czasu nikt tu chyba nie wchodził.

Już na pierwszy rzut oka było widać, że strych zawiera wszystko, co tylko mogło się tu nagromadzić przez tych kilka stuleci, od pajęczyn, przez krzywo stojące stoliki, stare ubrania, od których czuć było zapach garbowanej skóry przemieszany z charakterystyczną wonią kulek na mole, zegary i lampy, po gustowne uprzęże końskie. Przeważała jednak wielka liczba zawałających to pomieszczenie kufrów, waliz i pudeł, w których składowano zapewne przysłowiowe mydło i powidło, czyli absolutnie wszystko, co okazywało się nieprzydatne w codziennym życiu, a z czym Drummondom trudno się było jednak rozstać. Choć kto wie, może w tym morzu rupieci przechowywano jakieś zapomniane rodowe srebra? W sensie dosłownym, bo przecież przyszli szukać tu tajemniczego kielicha Drummondów, czy raczej jego części, która przypadła protoplaście tej akurat gałęzi rodu, kiedy trzech braci Drummondów wyruszających ze Szkocji do Ameryki postanowiło rozdzielić w ten sposób między siebie rodowy skarb. Tak głosiła legenda rodzinna, którą znała też Annie.

- Czy on jest rzeczywiście ze srebra? - spytała.

- Może, choć nie sądzę - odpowiedział Sinclair. - Raczej z cyny i ołowiu, taki łatwiej podzielić na kawałki. Sam kielich nie ma pewnie żadnej wartości, to tylko symbol.

- I to on jest przeklęty? - pytała dalej Annie.

Przypomniała sobie początek opowieści: trzech braci, uciekających przed prześladowaniami Anglików, opuszcza Szkocję - choć inna wersja mówi, że wcale nie byli prześladowani, a migrowali za chlebem - dzieląc przed wyjazdem kielich na trzy części. Umawiają się, że kiedy każdy z nich stanie na nowej ziemi na nogi, odnajdą się i połączą podzielony kielich. Tak się jednak nigdy nie stało, a kolejne pokolenia Drummondów, mimo że relatywnie nieźle szło im w interesach, zaczęły nawiedzać nieszczęścia: choroby, tajemnicze nagłe śmierci, a nade wszystko niefortunne małżeństwa i dramaty rodzinne. Z czasem zaczęto wierzyć, że to przez klątwę kielicha. Tak w każdym razie utrzymywała pani Drummond, matka Sinclaira. On sam miał na ten temat inne zdanie.

- To ród jest przeklęty, a nie kielich - powiedział oschłym głosem. - Sam nigdy bym tego rupiecia nie szukał, ale wiesz, matka... Dostała na starość bzika na jego punk-

cie. „Odnajdź tylko kielich, a wszystko się w naszym życiu naprawi!”. Albo: „Nie znajdziesz żony, z którą będziesz szczęśliwy, i nie dasz mi wnuków bez tego kielicha”. Ile razy można tego słuchać?!

Annie uśmiechnęła się. Nawet jej zdarzyło się być świadkiem podobnych uwag z ust pani Drummond kierowanych do syna. Zastanawiała się, jak to możliwe, by ten, tak pod każdym wręcz względem idealny mężczyzna, nie mógł ułożyć sobie życia z żadną z kobiet. Zwierzył się przecież nawet jej, że największym szczęściem, jakie sobie jest w stanie wyobrazić, jest ciche, spokojne życie u boku żony i dzieci. I to mówił biznesmen, gracz giełdowy, jeden z rekinów Wall Street, właściciel kilku rezydencji! Czy coś z nim jest nie tak - zapytywała się często w duchu Annie, czy też... trafił do tej pory na niewłaściwe kobiety?

- A... jak się czuje pani Drummond? - zapytała.

- Dziękuję, już lepiej, znacznie lepiej - odpowiedział Sinclair, pochylony nad jednym z kufrów, którego wieko właśnie podniósł.

- Wiadomo już, co ją tak powaliło?

- Jakaś rzadka tropikalna choroba. Lekarze mówią jej od dawna, że nie ma już dwudziestu lat i powinna ograniczyć podróże, ale gdzie by ich posłuchała! No to ma, o co się prosiła. No, ale odpocznie trochę, wydobrzeje. Za parę dni będzie już na tyle silna, że sama się tu wdrapie, zobaczysz!

- Nie pozwolimy jej! Spadnie ze schodów...

- Poczekaj, aż nikogo nie będzie w pobliżu i wejdzie tu cichcem. Nie zwiążemy jej przecież. Dostała bzika na punkcie tego kielicha, a ja nie mam czasu ani, szczerze mówiąc, chęci, żeby się przez to wszystko przekopać. Już czasem myślę, czy nie kupić jakiegoś kielicha w sklepie z antykami, pociąć go i dać jej fragment, mówiąc, że znalazłem go na strychu.

- Nie, nie można tak robić! - zaprotestowała Annie.

- Czemu nie? - zapytał Sinclair. - Matka dostała świra na punkcie tego kielicha i trzeba ją za wszelką cenę uspokoić.

- No, ale przecież nie kłamiąc...

- Niby racja. Sam już nie wiem.

- A może... - zaczęła nieśmiało.

- Może co?

- Może ja bym przeszukała ten strych?

Słowa te z trudem przeszły jej przez gardło. Odkąd schorowana Katherine Drummond zarządziła, że muszą odnaleźć kielich, Annie zaczęła marzyć o przeszukaniu „rupieci” tego rodu, którego częścią, chcąc nie chcąc, zaczęła się czuć, mieszkając tu i pracując od sześciu lat. W końcu przez ogromną większość roku to był wyłącznie jej dom, mimo że formalnie nie miała do niego żadnego prawa własności. Najlepiej ze wszystkich znała każdy jego kąt - z wyjątkiem właśnie strychu. Przekopanie się przez jego zawartość byłoby dla niej symbolicznym przyklepaniem jej niepisanych praw do tego miejsca. No i miała nadzieję, że poznając tajemnice przodków, zbliży się jakoś do samego Sinclaira, a w każdym razie zdoła go lepiej zrozumieć.

- Ty? - Sinclair nie ukrywał zdziwienia. - A... chciałybyś?

- Oczywiście - odpowiedziała. - W końcu mieszkam tu i to trochę mój dom.

Chciała to powiedzieć tak, by zabrzmiało jak żart, ale nie wiedziała, czy jej się udało.

- No tak, no tak... - mrucał wyraźnie zakłopotany Sinclair. - No, właściwie to... czemu nie? Ja nie mam nic przeciwko. Ale tak czy inaczej pamiętaj, że matka ci nie odpuści i będzie tu wściubiać nos. Zobaczysz, jak tylko stanie na nogi, zjawi się tutaj.

- Poradzę sobie. Lepiej zresztą, żeby weszła tu w mojej asyście, niż żeby się miała cichcem wdrapywać sama. Mogłoby przecież dojść do nieszczęścia...

- Racja. Kolejne nieszczęście w rodzinie Drummondów, tylko tego nam trzeba!

Sinclair zamyślił się na chwilę, po czym powiedział:

- Wiesz, to w sumie bardzo dobry pomysł.

- Żebym zinwentaryzowała zasoby strychu? - zapytała, z pewną obawą, czy słowo „zinwentaryzowała” nie zabrzmiałoby zbyt poważnie i Sinclair pomyślał, że Annie jednak zbyt głęboko wchodzi w ich rodzinne sprawy. Ale on najwyraźniej nie widział w tym zwrocie nic niestosownego.

- Tak, ale jeszcze bardziej to, żebyś zaangażowała w to matkę, na tyle oczywiście, na ile pozwoli jej zdrowie. Zajmie się tym i może przestanie truć mi głowę, bym jak najszybciej dał jej wnuki.

Annie przypomniała sobie ich rozmowę sprzed pół roku, świeżo po ostatnim rozwodzie Sinclaira, przy śniadaniu. Chcąc nie chcąc, podając do stołu, była świadkiem tej rozmowy. Pani Drummond narzekała, że jest już w tym wieku, w którym „ma prawo” mieć wnuki, na co Sinclair odparł:

- Ależ mam, przecież jeszcze nie umierasz, może zdążymy...

- Może i nie umieram, ale chcę mieć je teraz, kiedy jeszcze mogłabym się z nimi bawić. Za parę lat będę już niedołączną staruchą.

- Mam, proszę...

Kiedy indziej Annie słyszała coś na kształt kłótni między nimi, kiedy Sinclair wybuchnął, stwierdzając, że nie ma zamiaru przekazywać klątwy rodzinnej kolejnemu pokoleniu. Z tego jednak, co wiedziała, Sinclair pragnął mieć dzieci, nawet bardzo, co wśród mężczyzn w jego pokoleniu i o jego statusie jest raczej rzadkością. To nie tyle on, co jego żony nie paliły się do roli matki. Annie nie poznała osobiście jego pierwszej żony, ale druga, Diana Lakeland, wyglądała na osobę, która niełatwo zechce rozstać się z wypracowaną w klubach fitness figurą. Wyszła za Sinclaira ze względu na prestiż - był w końcu na topie listy najbardziej pożądanych nowojorskich kawalerów. I zostawiła go, gdy zorientowała się, że nie jest typem mężczyzny, który będzie woził ją prywatnym odrzutowcem po luksusowych hotelach, kasynach i wprowadzał na zamknięte przyjęcia dla elit. Diana chciała się życiem bawić, a Sinclair chciał po prostu żyć. Ach, czemu sam tego nie widzi i obwinia się o wszystko?! Annie najchętniej by mu to w prostych słowach wytłumaczyła, no ale... była przecież tylko jego gosposią i nie mogła nagle zacząć zachowywać się jak psychoterapeuta swego pracodawcy. Już i tak miała spory wgląd w życie prywatne Sinclaira, no a teraz ta możliwość pogrzebania w jego przeszłości podczas przeszukiwania strychu...

Zamyślona, machinalnie otworzyła stojące najbliżej niej pudło. Znalazła w nim zwinięty stary sznur - akurat tyle, żeby się powiesić - przyszło jej na myśl, a pod nim, o

dziwo, parę kolczyków. Przyjrzała im się bliżej: były zrobione ze skorupy żółwia i kości. Ciekawe, czyje uszy kiedyś zdobiły, zastanowiła się.

- Szukanie tu fragmentu kielicha to jak szukanie igły w stogu siana - powiedziała. - Choć muszę przyznać, że to bardzo interesujący stóg. A swoją drogą to... chyba nie tak łatwo rozbić metalowy kielich?

- Matka twierdzi, że mógł być od początku zrobiony tak, by łatwo go było rozdzielić, być może nawet z rozkręcaną nóżką czy podstawą - tłumaczył Sinclair. - Takie kielichy, z których pito w trakcie mszy przy podawaniu komunii, trzymali w domach Szkoci w czasach prześladowań katolików. Msze były oczywiście tajne i wszystkie używane przy nich sprzęty należało jak najszybciej pochować. Tak mówi mama, ale czy tak było, Bóg jeden wie.

- A co się stało z trójką braci?

- Jeden osiadł tutaj, budując dom na Long Island...

- Nie wiedząc jeszcze, że trzysta lat później będzie to najbardziej pożądane przez nowojorczyków miejsce wypadów na weekend.

- No tak. Choć może przeczuwał coś takiego, bo mimo że miało być to zasadniczo gospodarstwo rolne, główny budynek zrobił właściwie w stylu letniskowym, z widokiem na Dog Harbor.

Annie musiała przyznać mu rację. Z werandy domu rozciągał się piękny widok na morze. Pięćdziesiąt metrów dalej zaczynała się przerobiona z dawnego pola kartofli prywatna plaża Drummondów z przystanią ocienioną z obu stron drzewami starego, dziś w części już zdziczałego, ogrodu. A wszystko to raptem godzinę drogi od Manhattanu, o ile oczywiście nie ma korków.

- A pozostali bracia? - kontynuowała wypytywanie Annie.

- No cóż... - zaczął Sinclair. - Jeden z nich został piratem.

- Co?

- Napadał na statki na wschodnim wybrzeżu i na Karaibach. Podobno chlubił się tym, że nie zabijał załóg, chyba że w walce. Jeden z jego potomków mieszka zresztą do dziś na Florydzie, a dokładniej na Key West...

- Jak Hemingway?

- Tak. Namierzyłem go swego czasu na prośbę matki. Jack Drummond jest pasjonatem nurkowania i żyje ze sprzedaży tego, co znajdzie we wrakach na dnie morza. Czyli poniekąd poszedł w ślady przodka, tyle że tamten grabił pływające, a ten już zatopione statki.

- To dopiero rodzinna klątwa! - przerwała mu Annie.

- Tak czy inaczej, skoro jest tak łasy na skarby, nie sądzę, by chciał współpracować w szukaniu i składaniu w całość kielicha.

- Ale może zainteresuje go historia rodzinna?

- Może. Zobaczymy. Jeśli znajdziemy nasz fragment, to na pewno się do niego zwrócę, choćby tylko pro forma.

- Został nam jeszcze jeden z braci...

- Tak. Ten może zrobił rzecz najmądrzejszą: założył farmę w Kanadzie, wzbogacił się, po czym wrócił do Szkocji i odkupił rodzinne włości. Jego potomek żyje tam do dziś, nazywa się James Drummond, nie odpisuje niestety na mejle mojej matki. To zresztą bardzo w naszym stylu: jesteśmy rodziną gburów, z podejrzliwością przypatrujących się jeden drugiemu. Trzej bracia, kiedy dzielili kielich, musieli wiedzieć, że podejmują się misji niemożliwej: Drummondowie mogą robić wiele rzeczy, ale na pewno nie współpracować ze sobą. I to jest właśnie przekleństwo ciążyące nad tym rodem.

- Przesadzasz. Nie ma ludzi aż tak zamkniętych w sobie. A jeśli nawet są, to powinni próbować wyjść na świat, otworzyć się na innych, w tym przede wszystkim na tych, na których powinno się polegać, na własną rodzinę - powiedziała Annie płomiennym głosem, ale po chwili zdała sobie sprawę, że to być może ona przesadza. W końcu co wiedziała o Drummondach, o Sinclairze Drummondzie, którego od sześciu lat widywała po kilka razy w roku, a i to utrzymując między sobą a nim stosowny dystans, jaki powinien dzielić gosposię od właściciela domu czy też, jak by to dwa pokolenia wcześniej powiedziano, służącą od pana? Większość roku Sinclair spędzał w swoim penthouse'u na Manhattanie, godzinę jazdy stąd, ale tu, na Dog Harbor, był, ku utrapieniu Annie, bardzo rzadkim gościem.

Annie podchodziła właśnie bliżej światła z jakimś odkopanym z pudła porcelanowym imbrykiem, kiedy ponad muskularnym ramieniem Sinclaira dostrzegła wnętrze kufrza, nad którym ten się pochylał.

- Mój Boże - powiedziała, machinalnie odstawiając imbryk na najbliższą jej piramidę pudeł. - Jakie piękne koronki!

Ominęła Sinclaira, rejestrując jednak nosem uwodzicielski aromat jego wody kołońskiej, wyciągnęła rękę i przejechała palcami po powierzchni śnieżnobiałej bawełnianej materii.

- To chyba nigdy nie było noszone - dodała i nie pytając Sinclaira o zgodę, uniosła do góry coś, co po rozwinięciu okazało się koszulą nocną lub halką.

- Tak, tego chyba nikt nie nosił. Ciekawe, do kogo należała...

- Nie mam pojęcia - odpowiedział szczerze Sinclair. - Jako dziecko szukałem tu tylko noży i wszystkiego, co mogło udawać broń; kobiecych ubrań, ma się rozumieć, nie dotykałem.

- A popatrz na to! - powiedziała Annie, odkładając białą koszulę i biorąc w ręce leżący pod nią w kufrze zielony satynowy gorset z czerwonozłotą lamówką; ten również nie wyglądał na znoszony.

- Nigdy w życiu czegoś podobnego nie widziałam! - wykrzyknęła niemal Annie, po czym chwyciła w ręce kolejną część garderoby, błękitną suknię z jedwabiu wyszywaną perłowymi koralikami. - Te stroje nie powinny tu niszczeć, ich miejsce jest... nie wiem gdzie... w muzeum? Może zniesiemy je na dół i powiesimy przy innych ubraniach? W szafach jest mnóstwo miejsca, zwłaszcza po tym, jak pani Drummond rozdała organizmom charytatywnym swoje futra.

- Jeśli tak chcesz... - powiedział bez entuzjazmu Sinclair, co najwyraźniej jednak nie przeszkadzało Annie, która zawołała:

- To świetnie! Zniosę tyle, ile udźwignę w rękach.

Sinclair nie miał szczególnego nabożeństwa do kobiecych strojów sprzed kilku wieków, był jednak dżentelmenem na tyle, by wziąć w swoje ręce stertę ubrań podobną do tej, jaką dźwigała Annie. Oboje, jedno za drugim, powolutku zeszli po stromych

schodach na dół. Przeszli następnie do budynku mieszkalnego i złożyli ubrania na fotelu obok podwójnego łóża w sypialni gościnnej.

- Ta szara jedwabna suknia jest po prostu niesamowita! Jak ktoś był w stanie tak zręcznie poprząkać ją złotymi i niebieskimi nićmi? - mówiła oczarowana pięknem ubrań Annie.

- Pewnie zajęło mu to wiele lat - odpowiedział Sinclair. - Ubrania robiono wtedy zupełnie inaczej niż dzisiaj: każde było małym dziełem sztuki.

- Tyle że zwykli ludzie nigdy nawet nie dotykali takich rzeczy - zauważyła. - Chyba że pomagali je zakładać swoim paniom czy panom.

I w tym momencie Annie zdała sobie sprawę, że mówi właściwie o sobie. Kilka pokoleń temu do jej obowiązków jako służącej należałoby niewątpliwie ubieranie pani, sznurowanie jej gorsetu, podawanie kapelusza czy płaszcza państwu i ich gościom. No to co? - powiedziała do siebie w myślach. Czy robię coś gorszego niż dziewczyny w moim wieku siedzące przez długie godziny na telefonie w call centers?

Z zamyślenia wyrwała ją nieoczekiwana propozycja Sinclaira:

- Może założysz którąś z nich?

- Słucham? - Annie zdawało się, że się przesłyszała.

- Może przymierzysz któreś z tych ubrań? - powtórzył Sinclair.

- Ja? Nie, nie mogę. To są muzealne eksponaty. Poza tym... jestem za szeroka w talii, nie weszłabym w nie. Suknie były wtedy szyte dla kobiet noszących gorsety.

- Nie zgadzam się - powiedział Sinclair. - Masz bardzo smukłą kibić - dodał głosem, od którego zacisnął jej się żołądek. Nie musiała patrzeć na Sinclaira, by wiedzieć, że teraz wpatruje się w jej talię. Dobra, to jest mój szef, a ja jestem jego gosposią, musiała powtórzyć to sobie kilka razy, by się uspokoić. Natomiast idea przymierzenia jednej z „antycznych” sukien Drummondów podobała jej się jak najbardziej; mówiąc prawdę, gdy tylko je zobaczyła, pomyślała, że poprzymierza je któregoś dnia, kiedy nikogo prócz niej nie będzie w domu.

- No cóż... - powiedziała, biorąc w ręce błękitną suknię. - Nadal uważam, że się w to nie zmieszczę.

- Dobra. Ja dyskretnie odejdę teraz na bok i wrócę, kiedy będziesz mnie potrzebować przy zapięciu guzików z tyłu - powiedział Sinclair, po czym przeszedł do pokoiku stanowiącego aneks do sypialni.

O co mu chodzi? - zastanawiała się Annie, wyskakując z szortów i nerwowo próbując naciągnąć na siebie suknię, w którą rzeczywiście ledwie się mieściła. Chce, żebym przymierzała jego rodowe suknie... Pewnie chce po prostu, żebym się dobrze poczuła, a on swoją drogą będzie miał niezły ubaw, patrząc na mnie. Tylko nic wielkiego sobie nie wyobrażaj...

Suknia jakoś na nią weszła. Głęboki dekolt za bardzo odsłaniał biustonosz, więc postanowiła go zdjąć, wyciągając go skomplikowanym ruchem przez krótki rękaw sukni. Udało jej się też pozapinać więcej niż połowę guzików na plecach.

W tym momencie poczuła gdzieś poniżej karku dotyk jego palców; tak jej się przynajmniej zdawało. Jak mogła go nie usłyszeć? Musiał podejść do niej cicho jak kot! I... co on, u diabła, wyprawia? Mózg Annie był tak oszołomiony tym, co się wokół niej działo, że nie mogła trzeźwo ocenić sytuacji.

- Wróciłem za wcześnie? - zapytał, zabierając się do zapinania pozostałych guzików.

- Nie, nie... - wymamrotała, nie bardzo wiedząc, co powiedzieć.

- Wyglądasz naprawdę niesamowicie!

- E tam. Ledwo się zmieściłam. Boję się, że wszystko na mnie zaraz popęka.

- Wszystko będzie w porządku - zapewnił ją, dopinając ostatni z guzików. Obszedł ją dookoła i stanął z przodu. Zażenowana Annie odsunęła na bok spadający jej na oczy kosmyk włosów, który wymknął się z upiętego wysoko koka.

- Naprawdę pięknie wyglądasz z włosami upiętymi do góry - powiedział Sinclair.

- Ależ... prawie zawsze noszę je upięte.

- Naprawdę? Musiałem być ślepy, skoro tego nie zauważyłem. Dopiero w tej sukni widać... jak piękne masz ciało. Ależ byłem ślepy!

Annie zamurowało. Całym sercem i całym ciałem pragnęła znaleźć się w ramionach tego mężczyzny i oto teraz, pierwszy raz od sześciu lat, wydawało się, że coś takiego może stać się zupełnie realne: Sinclair najwyraźniej dawał do zrozumienia, że Annie

mu się fizycznie podoba! Tyle że rozum mówił jej: Stop! Jesteś z innej bajki. To jest twój pan, a ty jesteś jego służącą. Nie przekraczaj tej granicy.

Stali tak naprzeciw siebie przez dłuższą chwilę w zupełnym milczeniu, Annie starała się nie patrzeć mu prosto w oczy, ale w tej pozycji było to naprawdę trudne. Spąsowała, zaczęła ciężko oddychać i nerwowo mrugać powiekami. Tymczasem Sinclair zrobił krok w jej stronę i jego twarz znalazła się teraz raptem kilkanaście centymetrów od jej twarzy. Annie nie wiedziała, co zrobić. Zamknęła oczy. A po chwili poczuła na wargach dotyk jego ust. Nie opierała się i odruchowo odwzajemniła pocałunek, choć nadal nie mogła uwierzyć, że dzieje się to naprawdę.

Sinclair objął ją swymi mocnymi ramionami i przyciągnął jej głowę do siebie. Dopiero teraz otworzyła oczy i zobaczyła tuż przed sobą tę twarz i te oczy, które tyle razy wcześniej wyobrażała sobie w marzeniach i widziała w snach. Ich języki splotły się teraz, a Annie poczuła, jak jej twardniejące sutki napinają jedwabną materię sukni. Wdychała zapach jego ciała, przemieszany z wonią luksusowej wody kolońskiej i rozkoszowała się dotykiem zarostu Sinclaira na swoich policzkach. Boże, ile ja lat na to czekałam? - przebiegło jej przez myśl, kiedy jego palce rozplątywały kok i po chwili wbiły się w pukle jej rozpuszczonych włosów. Gorący, przyspieszony oddech Sinclaira upewnił ją, że jemu też jest z nią dobrze, bardzo dobrze.

Co ty, na Boga, robisz? - pytała samą siebie, ale była to ostatnia próba ze strony rozumu powstrzymania ciała przed zatraceniem się w rozkoszy. Po chwili leżeli już na wielkim wiktoriańskim łożu, a Sinclair rozpinał guziki sukni, które przed paroma raptem minutami dopinał. Annie pamiętała tylko, jak mężczyzna jej marzeń wziął ją na ręce i lekką jak piórko niósł na łóżko. Potem sprawy biegły jakby poza kontrolą jej umysłu. W pewnym momencie zdała sobie sprawę, że oto zupełnie naga leży pod równie nagą, atletyczną sylwetką Sinclaira.

Naprawdę będziemy się kochać? - zapytała samą siebie w myślach z niedowierzaniem. Jestem przecież tylko jego służącą, a on mógłby mieć praktycznie każdą kobietę, której by zapragnął. Ale był teraz niewątpliwie z nią, jego dłonie wędrowały po jej nagim ciele, a ciało Annie aż płonęło z rozkoszy od tego dotyku. Widziała tuż przed sobą piękną rzeźbę szerokich kości policzkowych Sinclaira. Czy to wszystko dzieje się naprawdę?

Ku swemu zaskoczeniu w pewnej chwili to ona przejęła inicjatywę i pocałowała go w usta, najpierw lekko, delikatnie, potem bardziej namiętne, z całą mocą; ich języki ponownie splotły się ze sobą. Jak to możliwe, że ten zwykły dzień tak nagle przeistoczył się w coś tak pięknego? Może to rzeczywiście sprawka tego kielicha? A może sukni?

Zastanawiała się, czy powiedzieć mu, że ma wkładkę domaciczną, którą stosowała, by złagodzić bóle menstruacyjne; wiedząc to, Sinclair poczułby się swobodniej. Nie chciała jednak przerywać tej pięknej chwili, milczała więc. Całowali się teraz z tak dziką furją, że Annie obawiała się nawet przez moment, czy któreś z nich nie zrobi niechcący drugiemu krzywdy, ale już po chwili odpoczywali w delikatnym, niewinnym niemalże pocałunku, nie pozwalając wargom rozdzielić się choćby na moment. I właśnie wtedy Annie poczuła nagle, jak Sinclair w nią wchodzi: delikatnie, wręcz niepewnie, jak ktoś błądzący w ciemności po nieznanym mu terenie. Ale dzięki temu mogła wyraźnie poczuć każdy milimetr wsuwającego się w nią napiętego do niemożliwości jego ciała.

Nie była dziewicą, choć doświadczenie w tych sprawach miała bardzo niewielkie. Żyjąc tak, jak żyła, pozostawała właściwie odcięta od miejsc, w których młodzi ludzie zwykle się poznają: pubów, dyskotek, nie była też specjalną fanką internetu, nie wchodziła na serwisy randkowe. Przyzwyczała się do samotnego życia i w jakiś sposób było jej z nim dobrze. Tak czy inaczej, tego, co robił z nią teraz Sinclair, nie przeżyła nigdy wcześniej. Jego ruchy stawały się coraz szybsze i Annie poczuła, jak wzbierający w niej ogień zaczyna zbliżać się do wybuchu. Instynktownie reagowała też coraz szybszym ruchem bioder, kontrując pchnięcia Sinclaira, co, jak zauważyła, dawało mu nieziemską radość.

- Annie! - jęknął w pewnym momencie, a ona, słysząc swoje imię wypowiedziane przez niego w tak słodki sposób, omal nie zemdląła.

- Sin! - odpowiedziała, ledwie łapiąc oddech.

Tak nazywała go w swoich snach i nigdy dotąd nie odważyła się tak zwrócić do niego na jawie. Sin to przecież znaczy grzech; jakże pasuje to do tego, co teraz robią!

Nie, czegoś podobnego nie przeżywała dotąd z żadnym mężczyzną i czuła się w tej sytuacji nawet trochę zażenowana: co będzie, jak poddam się tej fali całkowicie? Czy nie zrobię czegoś głupiego?

Ale Sinclair nie pozwolił jej na zbyt długie myślenie. Delikatnie wysunął się z niej, podłożył pod jej biodra poduszkę, a nogi Annie założył sobie na ramiona i w tej pozycji wszedł w nią teraz tak jak poprzednio: z początku powoli i delikatnie, po czym z rosnącą intensywnością, wdzierając się coraz głębiej, w miejsca, gdzie przed nim nigdy nie było nikogo. Annie nie panowała już nad swoim ciałem w najmniejszym bodaj stopniu - wydawało jej się, jakby dusza opuściła je i oglądała z góry, splecione z boskim ciałem Sinclaira. Ale po chwili coś przypomniało jej dobitnie, że jednak jest z tym ciałem wciąż związana: jej umysłem coś niezwykle mocno szarpnęło, jak gdyby ktoś urywał jej głowę, tyle że... to wcale nie było nieprzyjemne, wręcz przeciwnie! I poczuła, jak ogień, który w niej wzbierał, znalazł wreszcie dla siebie ujście. Domyśliła się, że przeżyła orgazm - czytała o nim dużo w pismach kobiecych, ale żaden z opisów nie umywał się do tego, czego właśnie doświadczyła.

Sinclair opadł bezwładnie, przygniatając ją, ale oszołomiona nie poczuła nawet bólu. Trwało to zresztą ułamek sekundy, bo po chwili Sinclair obrócił ich, nie rozdzielając się z Annie, tak że teraz ona leżała na górze, na nim.

- Cholera... - wyszeptał, kiedy tylko zdołał złapać oddech.

ROZDZIAŁ DRUGI

Przytulił ją mocno do siebie i przez dłuższy czas trzymał w objęciach. Jej złote włosy opadały mu na twarz i wargi. Całował je, a potem policzki, oczy, usta. A Annie patrzyła na niego spod swych długich rzęs, próbując odgadnąć, co Sinclair myśli.

Sinclair odczuwał nieprawdopodobną wręcz ulgę. Nie pamiętał, kiedy czuł się tak dobrze. Drugi rozwód zniszczył go psychicznie i był przekonany, że nigdy już nie zdoła zbliżyć się do żadnej kobiety. I oto leżał teraz obok pięknej dziewczyny i całował jej leciutko piegowatą twarz.

- Jesteś cudem - wyszeptał jej do ucha.

Uśmiechnęła się, a Sinclair głęboko westchnął; czuł, jak schodzi z niego napięcie, które kumulowało się od wielu miesięcy, a może i lat. Zaczął się bawić puklami jej gęstych włosów.

- To... stało się tak nagle... - zaczęła Annie.

- Tak - przyznał Sinclair, którego umysł powoli dochodził do siebie po wycieczce w krainę najwyższej rozkoszy. - Ale było cudownie.

- Cudownie - przytaknęła Annie. - Mam tylko nadzieję, że pieczeń się nie przypaliła.

- Pieczeń? - zapytał Sinclair, wyciągając spod Annie lewą dłoń. - O Boże, już prawie piąta! Ja przecież mam spotkanie!

I cały czar prysł. Sinclair znowu był biznesmenem, który zdał sobie sprawę, że zapomniał o ważnym spotkaniu, a piękna sylfida godna płócien mistrzów renesansu to Annie Sullivan, jego gosposia, która na dodatek prawdopodobnie przypaliła pieczeń.

Co się stało? - spytała Annie, przerażona nagłą przemianą Sinclaira.

Wstał z łóżka i zaczął się w pośpiechu ubierać. Jego mózg jednak pracował na wyraźnie zwolnionych obrotach. Co ja najlepszego zrobiłem? - zapytywał sam siebie. Straciłem rozum! No tak, koledzy ostrzegali, że zbyt długa abstynencja płciowa prowadzi do tragicznych skutków...

Annie siedziała teraz skulona, oparta o poduszki wezgłowia, zasłaniając swą nagość narzutą przykrywającą łożę i instynktownie próbując odsunąć się jak najdalej od

Sinclaira. Wiedziała, że stało się coś złego, ale nie wiedziała, co i dlaczego. Było przecież... tak pięknie. Czy to ja zawiniłam?

- Strasznie mi przykro... - wymamrotał Sinclair. - Nie wiem, co się ze mną stało - dodał, siadając na brzegu łoża. - Czy ty... zabezpieczasz się może jakoś, bierzesz pigułkę?

Nie brzmiało to wszystko zbyt romantycznie i Annie musiała na siłę zebrać się w sobie, by w miarę spokojnym głosem odpowiedzieć:

- Może nie pigułkę, ale zabezpieczam się. Nie bój się, nie zajdę w ciążę.

Sinclair odetchnął z wyraźną ulgą, nadal jednak był przerażony tym, co zrobił: najwyraźniej stracił kontrolę nad sobą. Może więcej sportu, siłowni, kąpieli w zimnej wodzie? Inaczej ani chybi się stoczy. Czy ma się teraz przespać ze swoją asystentką, a potem recepcjonistką w biurze? Niby zrobił dokładnie to, co Drummondowie robili od wieków: służące po to są, by służyć, tak jak potrafią, zwłaszcza jeśli robią to nieprzymuszone. Ale właśnie tej strony rodowego dziedzictwa Sinclair nienawidził: zakłamanych, podstępnych, uganiających się za każdą spódniczką Drummondów, którzy gotowi byli stracić swoją i przodków fortunę i reputację dla zaspokojenia chuci. On przecież miał być inny, ale coś mu na to najwyraźniej nie pozwalało. Czyżby matka miała rację i nad rodem tym rzeczywiście wisiała klątwa? Może trzeba mimo wszystko odnaleźć te kawałki kielicha i poskładać je w całość?

Z jego ust wydostało się stłumione przekleństwo i Annie aż się wzdrygnęła.

- Przepraszam - powiedział. - Klnę siebie, bo... nie wiem, co mnie takiego napadło.

- Ja też nie wiem - powiedziała cichym, zrezygnowanym głosem Annie i zaczęła się ubierać, podnosząc z podłogi szorty i resztę swoich ubrań. Starła się omijać spojrzeniem leżącą w bezładzie błękitną jedwabną suknię.

- Powieszę ją potem w szafie - powiedziała i wyszła z sypialni.

Sinclair nie wiedział, co ze sobą zrobić. Postanowił rzucić się w wir pracy i spróbować nie myśleć chwilowo o niczym. Na spotkanie już nie zdąży, ale pojedzie przynajmniej do swojego biura na Manhattanie, ma tam zawsze mnóstwo papierów do przejrzania.

Zakładając buty, dostrzegł leżącą na podłodze klamrę, którą Annie spinała włosy. Musiała upaść, kiedy rozplątywał jej kok... Cholera, czy to wszystko działo się naprawdę? W tym momencie przypomniał sobie jej ciało, które zobaczył, gdy opadła z niej ródowa suknia Drummondów, poczuł w nozdrzach miodowy, zniewalający zapach jej skóry. Ponownie ogarnął go żar pożądania. Przeklął na cały głos.

Wstał i pobiegł prosto do garażu. Po chwili walcząca w kuchni z pieczeniem Annie usłyszała dobiegający z alejki przed domem ostry pisk opon i odetchnęła z ulgą. Pieczeń udało się uratować, choć od przypalenia dzieliły ją najwyżej dwie minuty. Annie odstaawiła szklane naczynie na żaroodporną podstawkę i opadła na krzesło. Jej ciało nadal dygotało od zaznanej rozkoszy, która niemal na pewno nigdy się już nie powtórzy. Chciało jej się płakać.

Wszystko szło w jej życiu, a przynajmniej przez ostatnich kilka lat, tak dobrze. Miała niezłą pracę i całkiem sporą pensję, którą odkładała na rachunek oszczędnościowy, mając nadzieję, że uzbiera kiedyś na własne małe mieszkanie. Miała też plan na przyszłość: chciała szydełkować i robić na drutach zabawne szaliki, czapki, swetry i wystawiać je na sprzedaż przez internet. Wiedziała, że ma do tego talent i jeśli tylko poradzi sobie z promocją i dystrybucją swoich wyrobów, to powinno jej się udać. Kto wie, może któregoś dnia otworzy na Manhattanie własny sklep? Wszystko to było możliwe jedynie dlatego, że dziewięćdziesiąt pięć procent czasu pracy u Drummondów nie musiała robić absolutnie nic. No może tylko raz na kilka dni przelecieć z odkurzaczem po pokojach. Idealna posada dla kogoś pragnącego tak jak ona spokoju.

A teraz wszystko to zrujnowała. Ale właściwie co zrobiła złego? Że nie zaprotestowała, gdy mężczyzna jej marzeń zaczął dotykać jej pleców? To przecież było ponad jej siły...

Wyszła z kuchni i powlokła się ciężkim krokiem korytarzem, przechodząc obok swojego pokoju. Była to jedyna używana sypialnia na parterze, trzy sypialnie Drummondów znajdowały się na piętrze. No, była jeszcze na parterze sypialnia gościnna, z wielkim łóżem, gdzie przed paroma minutami ona i Sinclair...

Podniosła z podłogi suknię i powiesiła ją na wieszaku w szafie. Zabrała się za poprawianie narzuty na łóżu, a także wyszywanych poduszek, z których jedna w ferworze

ich gry miłosnej zawędrowała w tajemniczy sposób aż pod okno. Robiąc to, zdała sobie sprawę, że poduszki nadal pachną bardzo intensywnie Sinclairem. Wściekła na siebie zerwała narzutę z łoża, a także poszewki z poduszek i zaniosiła je do pralki. Po drodze rzuciła jej się w oczy zalegająca na fotelu sterta zniesionych ze strychu ubrań. O, jakże chętnie wrzuciłaby je wszystkie teraz do pieca! Na razie jednak postanowiła zostawić je tam, gdzie są.

Najbardziej bolało ją, że Sinclair zapewne opuścił dom z przekonaniem, że przespał się z łatwą panienką. Ale może i miał rację? Kim w końcu była, jak nie łatwą panienką? Od zabaw z zapinaniem guzików do momentu, kiedy wylądowali w łóżku, upłynęło mniej niż pięć minut. Jak ona mu teraz spojrzy w twarz?

- Idiotka! - syknęła, włączając pralkę.

Sinclair nie wrócił na noc do swej posiadłości w Dog Harbor i nie pojawił się tam również w kolejny weekend. Annie odetchnęła z ulgą. Nie wiedziała, jaki jest obecnie jej status w tym domu, ale uznała, że nadal obowiązuje ją umowa w kwestii inwentaryzacji strychu, zatem codziennie przeszukiwała zawartość kolejnych pudeł i kufrów. Znalazła wiele ciekawych rzeczy, które zrobiłyby furorę w sklepie z antykami, ale nic, co choćby trochę przypominało fragment kielicha. Notowała zatem, co znajduje się w każdym z pudeł; wykonywała tę pracę sumiennie, niż by należało, z obawy, że Sinclair pomyśli, że skoro się z nim przespała, to może poczuć się panią w jego domu i zapomnieć o obowiązkach gosposi.

Wspomnienie tego, do czego między nimi doszło, wprawiało ją w zażenowanie. Sinclair nie dzwonił, ale w sumie dlaczego miałyby dzwonić? Przeprosił ją przecież za to, co zrobił, wyjaśnił, że stracił głowę i co tu było jeszcze do dodania?

By nie zwariować, wytłumaczyła sobie, że pochodzą po prostu z innych światów i nic trwałego nie jest między nimi możliwe. Łóżko, owszem, zdarzyło się, ale na żadną dłuższą relację nie ma szans. Sinclair odziedziczył po przodkach spory majątek, a na dodatek sam założył fundusz hedgingowy, na którym zarobił grube miliony. Pisały o nim czasopisma biznesowe, takie jak „Money” i „Fortune”; Annie nigdy by pewnie po nie nie sięgnęła, nie wiedziała nawet, co to takiego fundusz hedgingowy, ale wyszukała tytuły tych artykułów w jakiejś przeglądarce. O tak, szukała od lat wszelkich informacji na te-

mat Sinclaira, gdzie się dało, a w internecie było o nim sporo. Chwalono go za właściwe zrównoważenie odwagi i roztropności przy inwestowaniu i dziwiono się, że akcje jego funduszu zyskiwały nawet w czasach kryzysu, kiedy inne podobne przedsięwzięcia padały na pysk albo z trudem wiązały koniec z końcem. Sinclair miał dyplom Princeton, a Annie zrobiła jedynie odpowiednik matury w szkole specjalnej, dokąd trafiały dzieci z patologicznych albo, tak jak w jej przypadku, niezamożnych rodzin. Sinclair był dwukrotnie żonaty, a wcześniej miał pewnie kilka narzeczonych czy dziewczyn, z którymi chodził, tymczasem ona nigdy dłużej z nikim nie była. Nie mieli naprawdę ze sobą nic wspólnego, poza tym, że czasami zdarzało im się spać pod tym samym dachem. No a teraz znaleźli się nawet w tym samym łóżku, tyle że na krótko, bardzo krótko...

Minął jeszcze jeden weekend bez Sinclaira i zbliżał się kolejny. Piątki były zawsze dla Annie trochę bardziej nerwowe: musiała dokładniej posprzątać dom i przyszykować jakieś, choćby elementarne, zapasy jedzenia, na wypadek gdyby mieli zjawić się goście. A tego nie można było przewidzieć. Z reguły zawiadamiano ją o tym wcześniej, ale pary razy zdarzyło się, że Sinclair, czy też jego matka, przyjechali z przyjaciółmi bez uprzedzenia.

Dawniej spędzała piątkowe popołudnia w oknie salonu, wypatrując samochodu Sinclaira i mając nadzieję, że tym razem pojawi się bez wyciągniętej świeżo z solarium koleżanki z zarządu tej czy innej spółki. Dziś na myśl, że mógłby się pojawić Sinclair, Annie gryzła w nerwach paznokcie. A co, jeśli rzeczywiście przyjedzie z jakąś laską? Ma ją powitać z radosną miną jako nową panią domu? Zapropionować, że zanieśie jej bagaż do pokoju? I udawać, że nie czuła nigdy na swoim ciele dotyku rąk Sinclaira, a na twarzy jego ciepłego oddechu?

Kiedy zobaczyła nadjeżdżający alejką samochód Sinclaira, serce zaczęło jej walić jak oszałałe. Odruchowo pobiegła schować się do spiżarki, gdzie nie było okien - tu czuła się najbezpieczniej. Wiedziała, że za chwilę będzie musiała wyjść i przywitać Sinclaira, ewentualnie jego gości, ale chciała choć przez chwilę pozostać w swoim azylu, nabrać sił na tę konfrontację. Boże, spraw, żeby nie było z nim tym razem żadnej kobiety! Za tydzień, dwa Annie może będzie już na tyle silna, by to znieść, ale nie teraz, nie dziś!

Bóg jednak nie wysłuchał jej prośb. Kiedy tylko wyjrzała przez okno, na siedzeniu pasażera zobaczyła zadbaną fryzurę jakiejś blondynki. Pierwsza myśl, jaka przyszła jej do głowy, to że diabelnie szybko sobie kogoś znalazł. A druga, że może przywiózł ją celowo - bez względu na to, czy sypia z nią, czy nie - po to tylko, by pokazać Annie, że tamta chwila zapomnienia z nią nic dla niego nie znaczy i żeby jakikolwiek związek wybiła sobie z głowy.

Spokojnie, powiedziała do siebie, zniesiesz to, musisz być silna! Choć tak naprawdę to chciała szybko się spakować i udać na dworzec kolejowy na Manhattanie, skąd złapałaby pociąg do rodzinnego domu w Connecticut. Nie, to nie byłoby profesjonalne! Wyjdę do nich z pokerową twarzą i będę się zachowywać, jak gdyby między mną a Sinclairem nigdy nic nie zaszło. W końcu on dokładnie tak się zachowuje, czemu ja miałabym być gorsza?

Z uśmiechem na ustach otworzyła drzwi domu.

- Dobry wieczór państwu - przywitała wysiadającą parę.

- Cześć, Annie - odpowiedział beztróska Sinclair, bez choćby cienia zażenowania.

To zabolalo Annie, ale kolejne słowa Sinclaira zmieniły ten stan totalnie:

- Pamiętasz oczywiście moją mamę? Spotkałyście się kilkakrotnie... - powiedział, wskazując na swą towarzyszkę.

Annie sparaliżowało. Co? Ta opalona na heban blondyna o boskiej figurze to jego blisko sześćdziesięcioletnia matka? Podróżująca po całym świecie dama, którą ostatnio ścięła z nóg jakaś tropikalna choroba? Nie może być! Przecież kiedy ostatnio ją widziała, niecały rok temu, wyglądała dużo starzej. Może choroba tak ją wyszczupliła?

- Annie, kochanie, mam nadzieję, że nie będę dla ciebie zbyt ciężarem? - powiedziała na powitanie matka Sinclaira, zdejmując z oczu okulary przeciwsłoneczne.

Skołowanej Annie z trudem udało się dobrać słowa:

- Ależ skąd! Jakże się cieszę, że widzę panią w dobrym zdrowiu, pani Drummond. Tak się o panią martwiłam...

- No cóż, doktor powiedział, że będę żyć i że dobrze mi zrobi pobyt tutaj. Tyle że przez jakiś rok nie mogę podobno nigdzie dalej podróżować.

Annie przyjrzała jej się uważniej. Opalenizna pani Drummond być może pochodziła jeszcze z jej wojaży, ale na pewno była Ostatnio poprawiana w solarium. Natomiast całą prawdę o ostatnich przejściach zdradzały jej oczy - były wyraźnie zmęczone, mato-we i bez wyrazu.

- To wspaniale! - powiedziała Annie i ruszyła w stronę Sinclaira, wyciągającego z bagażnika walizki.

W tym momencie otworzyły się tylne drzwi samochodu i wysiadła z nich, nie prze-rywając rozmowy przez telefon, młoda, wysoka i przeraźliwie chuda kobieta o rudych włosach. Wyglądała na jakieś dwadzieścia siedem lat, mogła być zatem rówieśniczką Annie.

Annie jęknęła w duchu. Nie, Boże, nie rób mi tego! Nie po tym wszystkim, co już dziś przeżyłam. Sięgnęła po jedną z waliz, ale Sinclair był szybszy.

- Ja się tym zajmę - powiedział z rzadką u niego stanowczością, po czym dźwignął dwie walizki i ruszył z nimi w stronę domu.

Annie zamknęła bagażnik. Zauważyła, że Sinclair celowo unikał jej wzroku.

- Pani Drummond, zapraszam do salonu na herbatę. Wolno chyba pani pić herbatę? - powiedziała Annie, cały czas jednak nie mogła oderwać wzroku od młodej towarzyszkii Sinclaira, która nadal rozmawiając przez komórkę, drugą ręką próbowała wytaszczyć z tylnego siedzenia dwie duże torby podróżne. Sporo bagażu, pomyślała Annie, chyba przyjechała tu na dłużej...

- Byle nie za mocną, kochana - odparła tymczasem pani - Drummond. - Będę ci dozgonnie wdzięczna, bo faktycznie zaschło mi trochę w gardle. Staliśmy w potwornym korku, wiadomo, piątek po południu. Mówiłam mu: jechać wcześniej albo późnym wie-czorem, ale wcześniej nie mógł, bo podobno pracował, a do wieczora czekać nie chciał. Uparty ten mój syn jak zawsze! A przy okazji, to jest Vicki, no tak, gada jak najęta.

Vicki mrugnęła do Annie okiem na powitanie, zarazem jakby przeprasząc, że nie może przerwać rozmowy.

No świetnie, pomyślała Annie. Akurat takiej kobiety Sinclairowi trzeba: aroganc-kiej, rozkapryszonej i kompletnie niepozbanej. Niech zatem ma, o co się tak prosi! Niech znowu wpakuje się w jakiś beznadziejny związek, skoro nie chciał...

Tu Annie skarciła się za samo choćby myślenie o hipotetycznym związku swoim i Sinclaira. To była tylko chwilowa utrata kontroli, to nie miało najmniejszych szans, powtarzała sobie prawie na głos, przywołując się w ten sposób do porządku.

- Dzień dobry, Vicki - powiedziała, nie zważając na to, że Vicki prowadzi jeszcze rozmowę. - Jestem Annie. Daj mi to, proszę - dodała, sięgając po wielką srebrną torbę z logo D&G.

Vicki machinalnie przekazała ją w ręce Annie.

Ruszyły wszystkie trzy przez ganek. Pani Drummond usiadła natychmiast w salonie, wyraźnie zmęczona podróżą, natomiast Annie i nieustannie rozmawiająca przez telefon Vicki wdrapały się po schodach na piętro. Tam, przechodząc przez korytarz, Annie zauważyła, że Sinclair zdążył już wstawić walizki matki do sypialni, której zwykle używała, kiedy odwiedzała Dog Harbor. Pozostawały jeszcze dwie sypialnie: Sinclaira i trzecia, do nikogo nieprzypisana. Alinie nie bardzo wiedziała, gdzie ma zanieść torbę Vicki.

- Nie sądzisz chyba, że będę spać z Sinem? - zapytała rozbawiona tą myślą Vicki, która właśnie skończyła rozmowę i szła za Annie, niosąc drugą ze swych toreb. - Jest wspaniałym mężczyzną, ale... trochę nie w moim typie - dodała, śmiejąc się od ucha do ucha.

Annie uznała, że musiała się pomylić przy pierwszej ocenie Vicki, kiedy obserwowała ją na dole, przy samochodzie. To chyba niemożliwe, żeby ta tak pełna humoru i luzu dziewczyna była jednocześnie arogancka. Ale lepiej mieć się na baczności...

- Zanieście rzeczy Vicki do błękitnego pokoju! - doleciał z dołu głos pani Drummond. Błękitny pokój to była nazwa trzeciej, nieprzypisanej nikomu sypialni na górze. Zatem Vicki nie była nową dziewczyną Sinclaira. Annie odetchnęła z ulgą. Co za dzień!

Weszły do błękitnego pokoju. Tu, w lepszym świetle i nie stresując się już, Annie mogła się lepiej przyjrzeć „aroganckiej” młodej damie. Była ubrana w spodnie bojówki i kusy top, na jej piersiach wisiał srebrny wisiołek z jakimś symbolem okultystycznym - co dokładnie przedstawiał, trudno było komuś nieobznajmionemu z symboliką staroegipskich papirusów i skandynawskich run orzec.

- Vicki jest starą przyjaciółką rodziny. Chodziła z Sinclairem do szkoły. Aż dziwne, że się nigdy nie spotkałyście - powiedziała pani Drummond, która w międzyczasie musiała wdrapać się tu po schodach i cicho wejść do pokoju. Skradanie się jak kot jest u nich rodzinne, pomyślała Annie, przypominając sobie, jak trzy tygodnie temu podszedł do niej Sinclair, z którego obecności zdała sobie sprawę, dopiero gdy poczuła dotyk jego palców na karku...

- Wiele lat mnie tu nie było - powiedziała wyjaśniająco Vicki. - Dziwne, jak ten czas szybko leci. Ale nic to, cieszę się, że mogę być tu teraz z wami wszystkimi.

Annie zastanawiała się, czy Vicki mówi to z sarkazmem, czy też zupełnie szczerze; jedno i drugie było całkiem możliwe. Vicki wyglądała na osobę nieprzeniknioną, żyjącą we własnym świecie, do którego broniła obcym dostępu. Tak czy inaczej, była niewątpliwie zupełnie innym typem niż standardowe przyjaciółki Sinclaira o starannie ułożonej w salonie fryzurze, w kaszmirowych bliźniakach...

- I my cieszymy się, że jesteś tu z nami - powiedziała pani Drummond, podchodząc do Vicki, obejmując dłońmi jej głowę i całując ją matczynym gestem w czoło. Twarz Vicki wykrzywił grymas zażenowania. Annie stała nieruchomo, przypatrując się tej scenie ze zdziwieniem. Pani Drummond najwyraźniej traktowała Vicki jak własną córkę; Annie nigdy nie widziała jej zachowującej się wobec kogoś w podobny sposób; wobec wszystkich, nawet wobec Annie, matka Sinclaira zawsze trzymała lekki dystans, niezależnie od okazywanego im ciepła. Co aż tak zbliżyło te kobiety do siebie? - zastanowiła się. Czy na pewno nic nigdy między Vicki a Sinclairem nie było?

- Jak ci się podoba błękitny pokój? - pytała pani Drummond.

- Jest super! - odpowiedziała Vicki. - Ale, mówiąc prawdę, poczułabym się lepiej, gdybym mogła wziąć prysznic.

- Tędy, proszę. - Annie wskazała jej drogę. - Zaraz przyniosę ręczniki. Potrzebujesz szamponu i odżywki?

- Dzięki, mam wszystko.

Kim ona tak naprawdę jest? - zastanawiała się Annie, prowadząc Vicki korytarzem do łazienki.

Na kolację Annie przygotowała jedno z ulubionych dań pani Drummond - łososia z rusztu w sosie koperkowym. Jakie szczęście, że zrobiłam zakupy na zapas, pomyślała.

- Widzę, że Sinclair uprzedził cię o naszym przyjeździe - powiedziała pani Drummond, wdychając tak błogą jej woń. - Bałam się, że zapomni.

Annie nic na to nie odpowiedziała, starała się też unikać wzroku Sinclaira. Nalała całej trójce białego wina i stanęła z boku, o krok od stołu, jak przystało na porządną służącą.

- Zaraz, tak nie może być! - zaprotestowała Vicki. - Annie przygotowała to wspaniałe danie, a sama nie może go nawet tknąć?

Sinclair przeżuwał łososia, udając zamyślenie. Pani Drummond zdumiała się nieco uwagą Vicki, niemniej uznała, że w tej sytuacji musi jakoś zareagować.

- Słusznie, kochanie - powiedziała. - Annie, bądź tak miła, przynieś talerz dla siebie i siądź tu z nami. Mamy przecież już na stole wszystko, co będzie nam potrzebne.

Annie nie wiedziała, co zrobić. Przyzwyczaiła się już do swej roli gosposi i chyba nigdy wcześniej nie zdarzyło się, by jadła posiłki razem z „państwem”, no może raz czy dwa, po jakichś suto zakrapianych kolacjach, na koniec wieczoru. Czuła się zakłopotana. No dobrze, siądzie z nimi, ale co potem? Będzie musiała wstać i przynieść deser. I czy ma w tej sytuacji nalać sobie wina, czy też byłaby to przesada? Postanowiła, że najlepszym wyjściem będzie ucieczka.

- Dziękuję bardzo, pani Drummond, ale ja już jadłam i nie zdołałabym niczego więcej przełknąć - skłamała.

- Usiądź z nami tak czy inaczej. - Pani Drummond wskazała na wolne krzesło obok Sinclaira. - Umieram z ciekawości, by usłyszeć, co znalazłaś na strychu.

Annie, chcąc nie chcąc, przysunęła do siebie krzesło, bo nie chciała siedzieć zbyt blisko Sinclaira, i usiadła. Syn pani Drummond nadal udawał, że w całości absorbuje go łośoś.

- Przejrzałam około dwudziestu pięciu pudeł i cztery kufry. Zrobiłam dokładną listę znalezionych rzeczy. Może przyniosę? - Annie rwała się do tego, by choćby na chwilę oderwać się od stołu i ich towarzystwa. Poza tym, mając w ręku swoje notatki, czułaby

się pewniej, miałyby co zrobić z rękami, które jedynie najwyższą siłą woli utrzymywała na granicy drżenia.

- Nie ma pośpiechu - uspokajała pani Drummond. - Przejrzemy ją kiedy indziej. Domyślałam się, że gdybyś znalazła fragment kielicha, to już byś nam to powiedziała.

- Oglądam absolutnie każdy znaleziony drobiazg pod kątem tego, czy mógł on stanowić część kielicha, ale na nic takiego jak dotąd nie natrafiłam. Jak rozumiem, nie dysponujemy żadnym jego opisem?

- Niestety. Nie wiemy nawet, czy był srebrny. Sinclair twierdzi, że raczej był z jakiegoś pośledniejszego metalu lub stopu, który łatwiej podzielić. Prawie na pewno nie był inkrustowany kamieniami szlachetnymi. Ciekawe, że tak ważny dla rodziny przedmiot nie ma praktycznie żadnej rynkowej wartości...

- Być może zrobiono tak celowo - wtrąciła się Vicki.

- Co przez to rozumiesz, kochanie? - spytała pani Drummond, wyraźnie zdziwiona.

- Gdyby był zrobiony ze srebra czy złota, stanowiłby atrakcyjny łup dla złodziei, którzy, nawet gdyby znaleźli tylko jedną jego część, zechcieliby ją pewnie przetopić na coś innego i spieniężyć. A w razie wpadki nikt by im nie udowodnił, że przetopione złoto czy srebro pochodzi z kielicha - wyjaśniła Vicki. - Być może zatem wasi przodkowie celowo zdecydowali się wykonać ten kielich z jakiegoś lichego metalu. Czy wiadomo przynajmniej, ile on liczy sobie lat?

- Nie wiadomo - odpowiedziała pani Drummond. - Był zapewne w posiadaniu rodu jakiś czas przed wyruszeniem trójki braci do Ameryki. Legenda rodzinna mówi, że służył wcześniej do tajnych mszy w czasach prześladowania katolików przez protestantów, a być może pamięta nawet najazdy wikingów. Nikt dziś już tego nie sprawdzi, zwłaszcza jeśli nie mamy kielicha lub choćby jego części w ręku. Moja matka pod koniec życia sporo mówiła o kielichu i chyba przekazała mi wszystkie istotne na jego temat informacje. Nawiasem mówiąc, myślę, że sam kielich nie interesował jej tak bardzo, jak perspektywa zdjęcia klątwy ciążyącej nad rodziną, to jest dokładniej nad męskimi potomkami Drummondów. Zresztą jakoś tak jest, że rodzą im się prawie sami chłopcy. Małżeństwo

mojej matki nie należało do szczęśliwych, a i trójka jej synów, w tym mój późniejszy mąż, podobno sprawiała niemałe problemy od samego dzieciństwa.

Zawiesiwszy głos, pani Drummond spojrzała na chwilę na swego syna. Nadal wpatrzony w talerz Sinclair maczał właśnie ostatniego ziemniaka w pozostałym po łososiu sosie.

- Być może znalezienie części kielicha - ciągnęła pani Drummond - i złożenie ich razem odmieni fatalny los męskiej części rodu, co i nam, kobietom, wyjdzie jak najbardziej na zdrowie.

W tym momencie Annie wydało się, że zrozumiała obecność w Dog Harbor Vicki: pani Drummond sprowadziła ją tu, by zrobić z niej kolejną żonę Sinclaira! Zauważyła pewnie, że Vicki wyraźnie różni się od wcześniejszych, niczym wyciętych z żurnala kobiet swojego syna, i miała nadzieję, że z nią uda mu się ułożyć sobie szczęśliwe życie. Nagle wszystkie elementy łamigłówki zaczęły się w głowie Annie układać - po co innego miałyby tu nagle, po długich latach nieobecności, przyjeżdżać Vicki?

Po raz trzeci tego dnia Annie poczuła, jak żołądek jej się zaciska. Zapragnęła jak najszybciej oddalić się od stołu, zaproponowała więc:

- Może jednak przyniosę tę listę? Znalazłam na strychu mnóstwo ciekawych przedmiotów, na przykład stary róg myśliwski i perłową broszkę. Właściwie to dopiero po ich znalezieniu postanowiłam, że zrobię dokładną listę zalegających tam rzeczy. Szkoda, żeby takie cuda pozostawały w ukryciu.

- Czasem zostawienie ich na strychu może oznaczać ich uratowanie - powiedziała z przekąsem pani Drummond. - Zwłaszcza w epoce eBay. Ale Vicki ma pewnie w tej kwestii inne zdanie?

- Wierzę w to, że każda rzecz powinna być starannie dobrana do jej właściciela - powiedziała Vicki.

- Vicki handluje antykami, jest po historii sztuki - wyjaśniła pani Drummond, zwracając się do Annie.

- Powiedziałabym raczej, że wciskam ludziom starzyznę - sprostowała Vicki, uśmiechając się. - Ale rzeczywiście, zawsze sprzedając coś, zastanawiam się, czy dana rzecz będzie pasować do nabywcy i jeśli mam przecucie, że nie, to nie narzucam się, a

wręcz przeciwnie: odradzam zakup. No, chyba że ktoś bardzo się upiera. Nie uwierzycie, ale są ludzie, którzy uwielbiają być otoczeni przez przedmioty, które zupełnie do nich nie pasują. Wartość czegoś to rzecz naprawdę bardzo subiektywna.

W tym momencie po raz pierwszy chyba od wejścia do domu odezwał się Sinclair:

- Podobnie jak piękno.

Po tej uwadze przy stole na chwilę zapanowała cisza. Vicki zbierała myśli do odpowiedniej riposty.

- Dla mnie piękno i wartość to w praktyce to samo. I obydwie te rzeczy są skrajnie subiektywne.

- No, nie wiem - odparł Sinclair, podnosząc do ust kieliszek wina i pociągając z niego dość duży łyk. - Najbardziej dochodowe z moich inwestycji były związane z rzeczami, które powszechnie nie uchodzą za piękne, jak uran, boksyty, gaz ziemny. Mają oczywiście swoją wartość, w tym dla mnie bardzo subiektywną wartość, bo pozwalają mi na życie na takim poziomie. Ale czy są piękne? Nie powiedziałbym...

Annie miała ponownie chaos w głowie. Wiadomość, że Vicki jest historykiem sztuki i zajmuje się handlem antykami, uspokoiła ją: być może to był jednak cel sprowadzenia jej tutaj. Pani Drummond chciała, by poszukiwaniami kielicha zajął się profesjonalista. To wprawdzie znaczy, że Vicki odsunie Annie od przeszukiwania strychu, a w każdym razie będzie odgrywać odtąd główną rolę, ale z drugiej strony oznacza to, że motywem sprowadzenia jej tu niekoniecznie była chęć pani Drummond znalezienia żony dla Sinclaira. Tyle że... słuchając ich wymiany zdań na temat piękna i wartości Annie zrozumiała, że przy całej swojej wiedzy podobnych dyskusji z Sinclairem prowadzić nie zdoła. Jestem dla niego za głupia, pomyślała. Nie sięgam do pięt takiej Vicki i... ona może go takimi rozmowami łatwo omotać, tak że straci dla niej głowę, nawet jeśli nie leżało to w planach pani Drummond.

- Sprzątnę ze stołu - zaproponowała skołowana Annie. Tym razem nikt nie protestował. - No i przyniosę deser - dodała ciszej, po czym udała się do kuchni, skąd słyszała dalszą wymianę zdań przy stole, tyle że na szczęście nie była w stanie z tej odległości wychwycić sensu wypowiedzi. Wnosząc deser, usłyszała jedynie podsumowanie dyskusji przez panią Drummond:

- Z mojego syna nic już nie będzie. Pociągają go jedynie rzeczy nudne, nawet jeśli są przy tym pożyteczne. Jedynie jakaś nietuzinkowa kobieta zdoła go, być może, odmienić.

Wszyscy troje wybuchnęli śmiechem, po czym przeszli do chwalenia ciasta stawianego przez Annie na stół. Konwersacja zeszła na bardziej przyziemne tematy, Annie przyniosła kolejną butelkę wina, potem trzecią. Pani Drummond twierdziła, że lekarz jej pozwolił, a nawet zalecił wino na jej stan, mówił coś wprawdzie o małych ilościach, ale tym nie należy się przejmować. Wszyscy się doskonale bawili. Wszyscy z wyjątkiem Annie.

ROZDZIAŁ TRZECI

Sinclair zwykle przyrządzał sobie śniadanie sam, robiąc grzankę i tost, ale ze względu na pozostałych gości Annie była w kuchni już wcześniej rano, mimo że nie spodziewała się, by po suto zakrapianej kolacji ktokolwiek wstał przed dziesiątą. Poza oczywiście Sinclairem, który był rannym ptaszkiem i bez względu na to, co się działo poprzedniego dnia, zawsze wstawał o świcie i biegł na plażę popływać w pław lub na łódce. Brak żaglówki na przystani upewnił Annie, że tego dnia Sinclair wybrał łódkę i pewnie parę godzin go nie będzie. Zostawione w zlewie talerzyk, umaczany w dzemie nóż i filiżanka wskazywały natomiast, że spożył swój zwyczajowy poranny posiłek dbającego o zdrowie i sylwetkę biznesmena atlety.

Tuż po dziesiątej po schodach zeszła Vicki. Nadal zaspana, ziewająca, ale, jak zauważyła Annie, ze spiętymi z tyłu głowy, inaczej niż ubiegłego wieczoru, włosami. Ubrana była w spodnie trzy czwarte i krótki top.

- Domyślam się, że śniadanie jemy w salonie? - zapytała.

- Oczywiście - odpowiedziała Annie. - Co podać?

- Masz może grejpfruty?

- Niestety. Przygotowałam sałatkę z kantalupy, winogron i ananasa, ale grejpfruta w niej nie ma. Mam pojechać do sklepu? - spytała Annie, domyślając się, że Vicki jest na

jakiejś zwariowanej diecie, która pozwala jej utrzymać niemal anorektyczną sylwetkę: dwadzieścia siedem grejpfrutów dziennie i nic więcej lub coś w tym stylu.

- Nie, na Boga! Sałatka brzmi świetnie. Gdyby jeszcze towarzyszyła jej jajecznicą albo jajko sadzone, byłoby wspaniale.

Uff, odetchnęła Annie, która nie lubiła skrajności w czymkolwiek, a w diecie przede wszystkim.

- Sinclair jest w domu? - spytała Vicki.

- Sądząc po braku łódki na przystani, raczej pływa gdzieś po zatoce.

- Pewnie wymknął się, by z nami nie rozmawiać. Stuprocentowy typ odludka. Że też nie został pustelnikiem... Zauważyłaś, że prawie się nie odzywał przy kolacji?

- W końcu się przecież rozkręcił. Dyskusja była dość ożywiona...

- No tak. Może jednak byłoby lepiej, gdyby się nie odzywał...

Annie nie wiedziała, co na to odpowiedzieć. Sinclair miał rzeczywiście pewne cechy samotnika, ale z drugiej strony tam, gdzie trzeba, umiał utrzymywać zażyłe stosunki z ludźmi. W przeciwnym razie nie zbudowałby przecież w tak młodym jeszcze wieku finansowego imperium, nawet jeżeli jego podstawą był majątek odziedziczony po Drummondach. Vicki była chyba wobec niego niesprawiedliwa. Zachowywała się tak, jak gdyby Sinclair nadepnął jej na odcisk. A może była po kobiecemu zła, że jej nie podrywa? Może przyzwyczała się, że przy swojej figurze i inteligencji jest zawsze obiektem adoracji ze strony mężczyzn?

- Idę robić jajka na bekonie - powiedziała Annie.

- Kochana jesteś! - skomentowała Vicki, po czym przeszła do drzwi wejściowych, otworzyła je i ze skrzynki na listy wyciągnęła poranne wydanie „New York Timesa”.

Jakby była we własnym domu, pomyślała Annie. Po czym skierowała się w stronę kuchni.

Annie podsmażała właśnie na patelni trzy plastry bekonu i już miała na nie wylewać jajka, gdy nagle drzwi kuchni otworzyły się. Przekonana, że to Sinclair wrócił z pływania, bo któż inny tak energicznie otwierałby drzwi, Annie skoczyła jak oparzona. Tymczasem w drzwiach stała Vicki.

- Jezus, Maria, Annie, stało się coś?

- Nie, nie, ja tylko...

- Przepraszam, przestraszyłam cię. Zachowuję się jak chamka, wchodzę wszędzie bez pytania, jakbym była u siebie w domu, a przecież jestem u was w gościach.

Annie wydało się, że słowa „u was” Vicki zaintonowała jakoś inaczej; czy to znowu jej sarkazm, czy tylko negatywne projekcje mózgu Annie?

- Wszystko jest w porządku - zapewniła Annie. - Rzeczywiście przestraszyłam się. Pomyślałam, że...

- Że wrócił Sinclair? Annie oblała się rumieńcem.

- Nie... Dlaczego... Dlaczego miałyby to być Sinclair?

- Nie mów. Widziałam przecież, jak na niego patrzysz.

- Nieprawda!

- Mnie łatwo nie oszukasz. Wiem dobrze, że zabujana jesteś w nim na amen. Twój rumieniec jest tego najlepszym dowodem. Trudno ci się zresztą dziwić, facet ma w sobie to coś, mimo że nie jest w moim typie.

- Vicki, ja naprawdę...

- No dobra, dobra. Uważaj, bekon już skwierczy, trzeba wlewać jajka!

Annie rzuciła się do patelni, mimo że z trudem w tym momencie była w stanie odróżnić bekon od jajek i nie bardzo wiedziała, co wlewa się do czego.

Wiedziona instynktem i latami doświadczenia poradziła sobie jednak znakomicie.

- Pychota! - powiedziała Vicki, wdychając woń mocno przysmażonego boczku. - Zjedzmy tu, nie bawmy się w wersal - powiedziała tonem nieznoszącym sprzeciwu.

Pewnie też wychowała się ze służbą, pomyślała Annie. To było zresztą logiczne, skoro chodziła z Sinclairem razem do szkoły; była to niewątpliwie prywatna szkoła dla dzieci z bogatych rodzin. Annie chodziła do zupełnie innej szkoły - jej koleżanki i kole-dzy z klasy wracali po lekcjach do domu, gdzie czekali na nich pijani ojcowie lub bezrobotne matki.

W tym momencie drzwi otworzyły się ponownie, pchnięte jednak mniej energicznie, zatem Annie jedynie lekko podskoczyła, co oczywiście nie uszło uwagi Vicki.

- Właśnie chciałam zaproponować, żebyśmy zjadły śniadanie w kuchni - powiedziała stojąca w drzwiach pani Drummond. - Tak tu przytulnie - dodała, podchodząc do stołu. - A co tak pięknie pachnie? Jajka na boczku, mmm... Zostanie coś dla mnie?

- Proszę, pani Drummond, już robię kolejne.

- Tylko bez pośpiechu, moje dziecko. I pamiętaj o sobie. Nie chcę nawet słyszeć, że już jadłaś!

Annie zajęła się smaženiem kolejnych plastrów boczku, tymczasem Vicki i pani Drummond podzieliły się pierwszą porcją.

- Mój syn, jak przypuszczam, już nas opuścił? - zapytała pani Drummond, zaspokoiwszy pierwszy głód. - Był rannym ptaszkiem już od dziecka, co nie wydaje mi się normalne. Tak jakby coś gnało go nieustannie przez życie i nie pozwalało przystanąć, odpocząć...

- Przekleństwo Drummondów? - zapytała Vicki.

- Pewnie tak - przytaknęła matka Sinclaira. - A właśnie, co z tym kielichem? Zaczynamy poszukiwania zaraz po śniadaniu, dobrze? Weźmiecie mnie na strych, z waszą pomocą jakoś wejść, choć tego, kto robił te schody, powinno się obtoczyć w smole i pieprzu i na wszelki wypadek jeszcze powiesić.

- Jest pani pewna? Nie będzie to zbyt męczące? - zapytała Annie, trochę przerażona wizją wdrapywania się tam z panią Drummond, która ledwo co zdołała wyrwać się ze szponów śmierci.

- Doktor powiedział, że mogę stać na nogach do trzydziestu minut, potem muszę co najmniej pięć minut posiedzieć. Zabierzemy tam małe krzeselko i jakoś to pójdzie. Umieram z ciekawości, co też tam jest, i nie mogłabym wysiedzieć tu na dole, wiedząc, że przeglądacie kolejne pudła, w których może znajdować się ten kielich. Oby Bóg dał, by się znalazł i zdjął z nas to straszne fatum! Tak bym chciała mieć już wnuki...

- No cóż, w tym raczej nie pomożemy. Chociaż może... - powiedziała Vicki, posyłając tajemniczy uśmiezek Annie. Ta omal nie rozlała soku pomarańczowego z dzbanka, który właśnie podawała na stół.

Pani Drummond zaśmiała się.

- Niezła partia, ten mój syn, co? Tylko ma pecha. Wybiera sobie złe kobiety, no ale ja już się o to postaram, by tym razem nie popełnił błędu. A skoro o tym mowa, jak tam wasze życiowe plany, dziewczyny? Jesteście już przecież dorosłe... Nie planujecie znaleźć męża i założyć rodzinę?

- Ja jeszcze poczekam - zdecydowanym głosem oświadczyła Vicki. - W tej chwili bardziej od rodziny zajmuje mnie moda i antyki.

- A ty, Annie? - zapytała pani Drummond. - Bo mam wrażenie, że praca tu, w Dog Harbor, odcięła cię od świata. Nie ma tu żadnych rozrywek, miejsc, dokąd można by wyjść. A na Manhattan jednak za daleko, zwłaszcza gdyby chciał wrócić w nocy. Nie myślałaś, żeby zapisać się na jakieś forum randkowe w internecie?

Annie zacisnęła zęby z wewnętrznej złości. Pani Drummond nawet nie przeszło oczywiście przez myśl, że cokolwiek mogłoby się zdarzyć między nią a jej synem. Annie nie należy do ich świata, jest gosposią, służącą w jednym z domów jej syna. To ich cały kontakt. Może oczywiście iść na randkę, ale tylko z kimś ze swojej sfery. Postanowiła jednak być uprzejma.

- Mnie też się nie spieszy - powiedziała, siląc się na maksymalny spokój. - Mój książkę pojawi się któregoś dnia, jeśli tak jest zapisane w gwiazdach.

- A... masz jakieś plany zawodowe? - nie przestawała drążyć pani Drummond. - Oczywiście bardzo nam jest z tobą dobrze i zostaniesz tu tak długo, jak długo będziesz chciała, ale mam wrażenie, że tu się nie rozwijasz. Nie planowałaś na przykład pójść do szkoły? Zawsze to lepiej mieć jakiś dyplom.

- Owszem, myślę o kursie na jednym z tutejszych uniwersytetów. Chciałabym się nauczyć podstaw biznesu. A potem może zacząć własną działalność. Niewykluczone zresztą, że dałoby się to pogodzić z dalszą pracą u państwa.

- Naprawdę! To świetnie! Annie, jak moglibyśmy ci pomóc? Wystawimy ci jak najlepsze referencje, jeśli tylko to pomogłoby ci się dostać na taki kurs.

- Nie sądzę, by to było potrzebne. Ale dziękuję pani za ciepłe słowa.

Zaraz po śniadaniu trzy kobiety weszły po rozchwianych schodach na strych: pierwsza wdrapała się Annie, niosąc w jednej ręce krzesło, za nią pani Drummond, którą od dołu ochraniała przed upadkiem Vicki. Poszło to w sumie lepiej, niż myślały. Już na

strychu, podniecona liczbą zgromadzonych tam rzeczy, pani Drummond zupełnie zapomniała o swojej chorobie i ani myślała co pół godziny siadać na przepisane jej przez doktora pięć minut, mimo że i Annie, i Vicki gorąco ją do tego zachęcały. Był ciepły dzień, strych z wolna się nagrzewał i nawet Annie czuła się nie najlepiej w tej duchocie, ale pani Drummond stwierdziła, że jest przyzwyczajona do tropików i wysoka temperatura jej nie przeszkadza.

Fragmentu kielicha nie znalazły, natknęły się za to na parę ciekawych rzeczy, jak kilka dziewiętnastowiecznych ozdobnych płaskorzeźb kafelkowych, figurka z kości słoniowej przedstawiająca Buddę bądź któregoś z bodhisattwów medytującego w pozycji lotosu czy dwie chińskie wazy z wymalowaną na jednej małą bawiącą się pod bambusem, a na drugiej starcem jadącym na bawole. Cała reszta jednak przedstawiała sobą bezwartościowe rupiecie, jak na przykład pudło pełne celuloidowych kołnierzyków do koszul czy inne, zapchane kapeluszami z moleskinu. Po paru godzinach tego szperania pani Drummond zaczęła jednak odczuwać zmęczenie i zarządziła odwrót.

- Myślę, że porą na mrożoną herbatę, a i przegryzłybyśmy pewnie co nieco - powiedziała, patrząc znacząco na Annie.

- Na lunch mamy bajgle z łososem, kaparami i serem filadelfijskim - odpowiedziała, jak zawsze przygotowana na podobne okoliczności, gospoia.

Tym razem Annie sama asystowała pani Drummond przy schodzeniu po stromych, trzeszczących schodach. Vicki w ostatniej chwili stwierdziła, że chce jeszcze parę minut pomyszkować na strychu.

- Znalazłaś jakiś trop? - spytała pani Drummond.

- Nie, ale chcę dokończyć to jedno pudło, które właśnie otworzyłam. Zaraz schodzę i dołączę do was w kuchni.

- Może tym razem zjemy dla odmiany na werandzie? Tak lubię siedzieć tam, patrząc na morze! Trzeba tylko wystawić stół, ale on jest lekki i obie dacie na pewno radę - zasugerowała pani Drummond.

- Dobrze, będę za parę minut na dole i przeniesiemy z Annie stół - zapewniła Vicki.

Annie pełna była jak najgorszych przeczuć i za żadne skarby nie chciała zostawiać Vicki samej na strychu. Z pewnością coś cennego zwęszyła i chce to stąd chyłkiem wynieść, pomyślała. Ale nie miała wyjścia, musiała zejść z panią Drummond na dół i zabrać się za bajgle.

Cokolwiek jednak Vicki miała do zrobienia na strychu, uwinęła się z tym bardzo szybko i rzeczywiście po kilku raptem minutach była już na dole. Niemal w tym samym momencie w drzwiach domu stanął wracający z żeglowania Sinclair. Annie, która usłyszała jego głos z kuchni, żywiej zabiło serce.

W trakcie lunchu okazało się, że cała trójka - pani Drummond, jej syn i Vicki - miała w planach pojawienie się tego wieczoru na Manhattanie na wernisażu jakiejś wschodzącej gwiazdy malarstwa. Tyle że Sinclair w ostatniej chwili zmienił zdanie: stwierdził, że jest wykończony po pływaniu i chce odpocząć.

- To jeden z najlepiej zapowiadających się portrecistów naszych czasów, ale jak rzeczywiście nie chcesz, to nie idź; jesteś w końcu dorosły. Vicki, musimy pojechać tam same.

- No tak, tu chodzi o piękno, a ono, jak wiemy, jest dla pana Drummonda bezwartościowe - odpowiedziała na to Vicki, puszczając oko do obu kobiet. - Zbierajmy się zatem, bo przed nami długa droga.

Annie czuła się nieswojo na myśl o wieczorze spędzonym sam na sam z Sinclairem. Czy zasymulował zmęczenie, żeby z nią porozmawiać? Nie, pewnie zamknie się w swojej sypialni albo gabinecie i w ogóle nie będą się przez tych kilka godzin widzieć. Tak byłoby zresztą najlepiej. Choć z drugiej strony... Byle tylko nie zrobić tym razem czegoś głupiego, mówiła do siebie w myślach.

Usiadła w kuchni. Pomyślała, że to świetne miejsce - jeśli Sinclair będzie chciał z nią porozmawiać, to ją tu łatwo znajdzie, a jeśli nie, to też łatwo zdoła jej uniknąć. Drzwi do kuchni zostawiła na pół uchylone, tak by widać było świecącą się w środku małą lampę. Ale niby dlaczego miałby chcieć z nią rozmawiać, zastanowiła się Annie, wszystko przecież jest jasne...

Próbowała czytać książkę, jakiś modny ostatnio skandynawski kryminał, ale nie mogła się skupić. Przeczynała, że do czegoś między nią a Sinclairem tego wieczoru doj-

dzie i nie myliła się, bo po chwili stanął przed nią młody pan Drummond we własnej osobie. Zszedł z góry bezszelestnie, jak to miał w zwyczaju, i zobaczyła go dopiero, kiedy pojawił się w drzwiach.

- Annie, posłuchaj...

Odłożyła książkę. Słuchała z ciekawością.

- Wtedy, no wiesz...

- Wiem.

- Nie wiem, jak to wytłumaczyć.

- Ja też nie. Wszystko stało się tak nagle.

- No właśnie! Coś nas napadło.

Sinclair poczuł wyraźną ulgę, co trochę rozwścieczyło Annie. Zbyt łatwo zwala wszystko na sytuację, pomyślała. W końcu to on to wszystko zainicjował! Ale dobrze przynajmniej, że nie próbuje udawać, że nic się nie stało.

- Powinniśmy... - zaczął mówić po chwili milczenia - powinniśmy spróbować o tym zapomnieć i żyć tak, jak żyliśmy do tej pory.

Powiedział właściwie to, co Annie sama mówiła do siebie od trzech tygodni. A jednak zabolą ją.

- Annie, jesteś bardzo fajną dziewczyną...

O nie, tylko nie to! Zaraz jej powie, że on wprawdzie nie może, ale absolutnie każdy inny facet oszaleje na jej punkcie.

- A ty jesteś bardzo fajnym facetem - odpowiedziała odruchowo.

- Nie sądzę - odpowiedział niemal grobowym głosem.

Annie przypomniała sobie teraz, że druga żona Sinclaira po rozwodzie obsmarowała go straszliwie w prasie i internecie, kiedy zorientowała się, że nie byli małżeństwem wystarczająco długo, by uzyskać od niego alimenty. Podawała dość intymne szczegóły ich pożycia, oskarżała o kłamstwa, w tym również o oszukiwanie klientów, co na pewno nie pomogło Sinclairowi w interesach. Annie wiedziała, że Sinclair przeżył to bardzo ciężko, a nawet musiał, bodaj pierwszy raz w życiu, skorzystać z pomocy psychoterapeuty. Nagle zrobiło jej się go żal.

- Wiem, że tego nie chciałeś - powiedziała.

Odruchowo chciała powiedzieć „nie chciałeś kochać się ze mną”, ale te słowa jakoś nie przeszły jej przez gardło, zostało więc „tego nie chciałeś”.

- Wiem, że nie planowałeś tego - poprawiła się - i teraz żałujesz.

- No tak... - wymamrotał.

Zabolało ponownie. To, co dla niej było najpiękniejszą chwilą w życiu, dla niego było tylko powodem do żalu, czy raczej zakłopotania.

- Tak czy inaczej - powiedziała Annie, by rozładować jakoś ten grobowy nastrój - nie będę przymierzać już żadnej z tych sukien.

- Ależ wyglądałaś w niej naprawdę wspaniale! - zapewniał Sinclair, niewątpliwie szczerze.

- To suknia wyglądała wspaniale, nie ja. Te suknie są naprawdę niezwykłe! Nie patrzyłam na nie od tamtego dnia, ale wydawało się, że nikt ich nigdy nie nosił.

- Z wyjątkiem jednej.

- Której?

- Tej, którą założyłaś ty.

- Ach, tej... Ale i jej nie noszono długo - powiedziała Annie, próbując się uśmiechnąć. - Ciekawe zresztą, dlaczego te piękne i niewątpliwie drogie przecież suknie nigdy nie były noszone i wylądowały na strychu.

- Może to klątwa Drummondów?

- Myślałam, że klątwa ta dotyka tylko mężczyzn.

- Może nie tylko mężczyzn.

- Może... suknie te zamieniają przyzwoite kobiety w rozpustnice i dlatego schowano je przed światem? - zasugerowała Annie. Żartem, ale zastanowiła się mimo wszystko, czy nie ma w tym ziarenka prawdy.

Sinclair podszedł do jednej z wiszących w kuchni szafek i wyciągnął z niej szklankę. Annie odruchowo chciała zapytać, czy może mu coś podać, ale uznała, że w tych okolicznościach nie musi się zachowywać jak zawsze gotowa do usług gosposia. Sinclair wyraźnie się denerwował: rozpiął kołnierzyk koszulki polo i zaczął głośniej oddychać. Sam nie wiedział, co mu się stało, a raczej wiedział: przypomniawszy sobie Annie, kiedy

ściągał z niej suknię, odsłaniając śnieżnobiałe ramiona. I Sinclair poczuł, że ponownie wzbiera w nim ogień pożądania...

- Coś nie tak? - spytała Annie. - Przynieść ci coś z apteczki?

- Nie, nie - odpowiedział stanowczo. - Zaraz mi przejdzie.

Nalał sobie wody z kranu i pociągnął głębszy łyk.

Przez dłuższą chwilę siedzieli w milczeniu. Wreszcie Sinclair, najwyraźniej już spokojniejszy, powiedział:

- Moja mama chce tu zostać na całe lato i myślę, że to dobry pomysł.

Dobry dla pani Drummond, ale chyba nie dla mnie, pomyślała Annie. Pani Drummond była uroczą towarzyszką rozmów przez godzinę lub dwie, ale jakiegokolwiek dłuższe z nią przebywanie stawało się uciążliwe. A Annie najbardziej potrzebowała teraz samotności, żeby wylizać się z ran, które na jej psychice zostawiła tamta „utrata kontroli” przez Sinclaira. A może Sinclair chciał w ten sposób powiedzieć, że Annie ma zostać w Dog Harbor do końca lata, by zajmować się panią Drummond, a potem powinna sobie poszukać innego miejsca? Sama zresztą powoli dochodziła do tego wniosku, że musi się stąd wynieść. Tutaj wszystko zawsze będzie jej przypominać o Sinclairze i... nigdy się z niego nie wyleczy. Bała się zresztą, że i tak się z fascynacji nim nie wyleczy i odtąd każdego napotkanego w swym życiu mężczyznę będzie porównywać z Sinclairem. I każdy będzie od niego gorszy.

Wiedziała jednak zarazem, że nigdy nie znajdzie już tak odpowiedniej pracy dla realizacji swoich marzeń, jeżeli oczywiście znajdzie jakąkolwiek, nie mając dyplomu, a nawet prawdziwej matury. No, może w jakiejś hamburgerowni, gdzie ze sztucznym, przyklejonym do twarzy uśmiechem będzie pytać każdego z klientów: „Dodatkowe frytki?”. Tutaj, u Drummondów, przez niemal cały czas była panią swojego losu i taki prezent od życia już się nie powtórzy. Ale być może warto i z tego zrezygnować, jeśli pozostając tu, miałyby postradać zmysły.

- Nie przejmuj się moją mamą - uspokajał tymczasem Sinclair, który najwyraźniej czytał w jej myślach. - Zostanie tu z nią Vicki i będzie ją zabawiać. Twoje życie niewiele się przez to zmieni.

Masz babo placek, pomyślała. Tylko tego było jej trzeba: nie dość, że pani Drummond, to jeszcze Vicki, która pod każdym względem wpędzała ją w kompleksy! Ale nie był to ostatni cios, jaki tego dnia miał jej zadać Sinclair.

- Mama przekonała mnie, żebym przez najbliższych kilka tygodni pracował z domu, czyli stąd - powiedział. - Twierdzi, że ostatnio się przepracowuję i jeśli tak dalej pójdzie, to dostanę zawału. Pewnie przesadza, ale coś w tym chyba jest, więc się zgodziłem i spróbuję. Może co parę dni będę musiał pojawić się w biurze, ale zasadniczo chcę pracować tutaj.

- To świetnie - powiedziała Annie, ale brzmiało to na tyle nieszczerze, że Sinclair zdecydował się dodać:

- Annie, jesteśmy oboje dorosłymi ludźmi i musimy to jakoś stawić. Co się stało, to się już nie odstanie, a wpływ możemy mieć tylko na przyszłość.

Mocne słowa, pomyślała Annie. Mocne słowa mocnego człowieka. Jakże szybko jednak przeszedł nad tym, co się między nimi zdarzyło, do porządku dziennego. Czy faceci w ogóle mają serce?

- Oczywiście - powiedziała, starając się, by zabrzmiało to mniej sztucznie. - Nigdy już nie wracajmy do tego tematu. Było, minęło.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Praca z domu okazała się dla Sinclaira łatwiejsza, niż się mógł spodziewać. Owszem, nie był w stanie uczestniczyć aktywnie w życiu biura, nie mówiąc już o spotkaniach biznesowych - oba te zajęcia przekazał swej młodej asystentce - znalazł jednak czas na uważne czytanie raportów, co wcześniej zawsze stanowiło dla niego problem i niejednokrotnie odbijało się potem czkawką: nieprzygotowany w danej kwestii Sinclair podejmował decyzję na ślepo, jak hazardzista, wiedziony intuicją. Strategia ta nie zawsze się sprawdzała i chyba tylko opatrności zawdzięczał to, że jego interesy miały się tak dobrze. Czytał właśnie raport jednego ze swoich analityków na temat kopalni złota w Urugwaju, gdzie zresztą firma Sinclaira dokonała kilku udanych inwestycji, zauważył jednak, że gdyby przeczytał ten raport wcześniej - a powstał on przed niemal rokiem - zwroty z urugwajskich kopalni byłyby jeszcze większe. Postanowił zatem, że mniej więcej co kwartał będzie sobie ordynował tygodniowe „wakacje” na Long Island, poświęcone czytaniu raportów.

Kończył właśnie czytanie urugwajskiego raportu, kiedy pukanie do drzwi i głos matki przypomniały mu, że miał tego dnia wystąpić w meczu krykieta, jaki pani Drummond organizowała dla miejscowych elit. Początkowo chciał się z tego wymówić, ale po błaganiach matki, tudzież uwagach, że ją do grobu wpędzi, położył uszy po sobie i postanowił przez parę godzin odgrywać rolę grzecznego syna.

- Już schodzę, mamó - krzyknął przez zamknięte drzwi, po czym zamknął raport, nie doczytawszy ostatniej strony, i ociężale wstał z łóżka.

Z trudem rozprostował swe atletyczne ciało, z którym ostatnio działo się coś złego: Sinclair od trzech dni przestał biegać i pływać po zatoce, a nieznany mu dotąd ból zaczął łupać go w krzyżu. Idealny dzień na partię krykieta!

- Pospiesz się, synku, wszyscy już czekają.

Rzut oka przez okno upewnił go, że „wszyscy” w tym wypadku oznaczało głównie około tuzina córek miejscowej arystokracji, kłębiących się na dole z drinkami w dłoniach, często w towarzystwie ojców i matek. Wszystkie zapadały się co chwila cienkimi

szpilkami w trawę i zapewne wszystkie poszukiwały męża o odpowiedniej pozycji i prestiżu.

Sinclair ziewnął. W tym momencie wolałby chyba być na najnudniejszym zebraniu zarządu niż tutaj. Ale dał słowo matce i go dotrzyma. Poza tym... krykiet oderwie go od myślenia p Annie. Bo od tamtej rozmowy z nią w kuchni przed paroma dniami nie mógł się po prostu uspokoić. Najwyraźniej coś złego działo się nie tylko z jego ciałem...

Ubrał się w białe sportowe spodnie i rozpinaną pod szyją bawełnianą koszulę. Był to jego strój do golfa i krykieta, może nie w stu procentach zgodny z etykietą, ale nigdy jeszcze ochrona go nie wyrzuciła. Zszedł na dół i wyszedł na werandę, gdzie powitały go oklaski i radosne okrzyki:

- Sin, Sin, jak miło cię widzieć, sto lat cię nie było!

Wkrótce wdał się w rozmowę o boksytach z ojcem którejś z obecnych tu panien na wydaniu. Ktoś inny pytał go, co sądzi o ciągu Fibonacciego w kontekście fluktuacji cen na giełdzie, jakaś starsza dama dopytywała się, czy jego zdaniem należy kupować akcje przed pełnią księżyca, a sprzedawać po, czy odwrotnie. Odpowiadał na wszystko grzecznie i znajdował w tym nawet pewną przyjemność. Było to jakieś inne, niewątpliwie alternatywne spojrzenie na to, czym zajmował się na co dzień, a zresztą... nikt przecież tak naprawdę nie wie, co rządzi ruchem cen na giełdzie, podobnie jak nawet najbardziej doświadczeni rybacy nie są w stanie powiedzieć, w którą stronę przemieści się płynąca przed nimi ławica śledzi. Na biznesie znam się mniej więcej tak, jak na kobietach, mówił czasem do siebie w myślach. Cud, że jeszcze nie splajtowałem.

Rozejrzał się dookoła. Nie było tu oczywiście żadnej z jego byłych żon, ale zobaczył dwie czy trzy ich bliskie przyjaciółki. Czyżby matka chciała wyswatać go z którąś z nich?

- Może wina? - usłyszał za sobą głos.

- Dziękuję - odpowiedział, machinalnie sięgając po podany mu kieliszek.

Ułamek sekundy zabrało mu skonstatowanie, że tacę z kieliszkami podawała Annie, a on niechcący potraktował ją jak zwykłą służącą. Poczul się z tym niedobrze.

- Poczekaj... - powiedział stłumionym głosem, ale Annie obsługiwała już kolejnych gości i nie słyszała go lub nie chciała usłyszeć. Chciał nawet rzucić się za nią, zostawiając swoją rozmówczynię, ale uniemożliwiła mu to pani Drummond.

- Do boju, mój synu! - powiedziała, podając mu młotek do krykieta. - Bez ciebie ta gra się nie zacznie.

Bez przekonania wziął młotek z jej rąk i zastanawiał się przez moment, co ma dalej zrobić; nie grał od dobrych paru lat.

W tym momencie usłyszał ze swej lewej strony kobiecy głos:

- Mój Boże, Sinclair, tyle lat cię nie było! Gdyby nie to, że twoja rodzina posiada tę ziemię od czasów Noego, bałabym się, czy jej nie sprzedałeś.

To Lally, uroczą brunetka, którą znał z jacht klubu.

- Nie mógłbym sprzedać - odpowiedział. - Przodkowie wstaliby wtedy z grobów i straszyli mnie.

- Grajmy w parach - zaproponowała pani Drummond. - Sinclair, ty w parze z Lally, a ja...

W tym momencie zawołała na jakiegoś mężczyznę w średnim wieku, nieznanego zresztą Sinclairowi, i złożyła mu propozycję nie do odrzucenia:

- Philip, będziesz moją parą w krykiecie!

- Z przyjemnością, Katherine.

Zaczęli grę. Młotek trafiał to do ręki Sinclaira, to znów Lally i oboje trzymali jedno drugiemu kieliszek w momencie, gdy on czy ona przymierzali się do uderzenia. Sinclair zauważył dzięki temu, że kieliszek Lally, w którym oficjalnie znajdowało się tylko lekkie białe wino, wyraźnie pachniał dolanym do niego spirytusem; widać chciała się w ten sposób szybciej upić.

- Cholera, jesteśmy wciąż za nimi o dwie bramki! - wyrwał Sinclaira z zamyślenia głos pani Drummond. - To wszystko przez ciebie, Philip! Ten ból zęba pozbawił cię zupełnie formy.

- Katherine, naprawdę robię, co mogę! - zapewniał pokornie Philip.

Gra trwała dalej. W momencie, kiedy do uderzenia przymierzał się ponownie Philip, Lally zapytała Sinclaira, jak się ma w tych trudnych czasach jego fundusz hedgingo-

wy. Sinclair zastanawiał się, jak na to pytanie w niebanalny sposób odpowiedzieć, kiedy za łokieć chwyciła go matka:

- Nie wiesz, gdzie jest Annie? Przydałaby się nam do ostatniej pary.

Rozejrzał się. Annie nie było nigdzie widać. Pomyślał, że może poczuła się zraniona, że nie zwrócił na nią uwagi, kiedy podawała mu wino. Może schowała się teraz w kuchni albo w spiżarni i chce przeczekać to przyjęcie?

- Myślę, że może być zajęta swoimi obowiązkami - odpowiedział.

- Bzdura, jedzenie zamówiliśmy przecież w firmie cateringowej, a drinki można ustawić na stole i ludzie sami będą się obsługiwać. Jest mi tu potrzebna i idę jej poszukać - powiedziała pani Drummond tonem nieznoszącym sprzeciwu.

Matka Sinclaira odeszła, tymczasem ponownie przystąpiła do niego Lally. Znalazła się teraz tak blisko jego twarzy, że groziło mu uduszenie się superintensywną wonią jej perfum przemieszaną z wydostającym się z jej płuc odorem alkoholu. Lally zagadywała go o różne sprawy biznesowe. Kiedy już nie mógł tego dłużej znieść, użył wypróbowanej techniki posłania piłki na stronę przeciwnika.

- A ty czym się zajmujesz? - zapytał.

Przyzwyczajona do nieustannego atakowania Lally była trochę zaskoczona pytaniem Sinclaira i z początku nie wiedziała, co odpowiedzieć.

- Ja... - zaczęła wreszcie. - Mam... dość rewolucyjny pomysł, który staram się rozwijać.

- Naprawdę? - zapytał Sinclair i na moment przejawiał nawet coś na kształt zainteresowania.

- Tak. Organizuję imprezy botoksove.

- Co takiego?

- Botoksove party. Spotkania ludzi, którzy poprawiają sobie samopoczucie poprzez poprawę wizerunku, cery...

- To jest, wstrzykują sobie w twarz neurotoksyny?

- W małych dawkach to jest zupełnie niegroźne. W Brazylii na przykład to jest rzecz codzienna, a nawet dowód dbałości o higienę fizyczną. Wcześniej czy później dotrze to i do nas. Ludzie muszą się z tym oswoić i nauczyć o tym mówić. Stąd pomysł na

moje imprezy. Obok sali spotkań jest oczywiście gabinet, gdzie można sobie na miejscu poprawić to i owo.

Sinclair musiał przed sobą przyznać, że inwencja Lally zaskoczyła go. Ta plastikowa z pozoru laleczka ma jednak pewne wyczucie popytu, bo jeśli świat będzie się rozwijać w tym kierunku, w którym się rozwija, to za kilka lat faszerowanie skóry botoksem będzie rzeczywiście sprawą tak powszechną jak dziś mycie zębów.

Odruchowo przyjrzał się uważniej idealnie wypielęgnowanej twarzy Lally.

- Tylko nie mów mi, że ty też...? Nie daję ci więcej niż dwadzieścia pięć lat.

- Skończyłam dwadzieścia dziewięć, ale cicho, o tym ani słowa nikomu! Moja twarz to najlepszy dowód, że ten produkt działa.

- Boże wielki!

- Nie chcę być namolna, Sinclair, ale jeśli zastanawiasz się nad nowymi inwestycjami, to botoks będzie wkrótce jednym z najszybciej rosnących rynków. W przyszłym roku chcemy wejść na giełdę, najpierw na NASDAQ, a potem zobaczymy. Gdybyś chciał zapoznać się z prospektem emisyjnym...

W tym momencie Sinclair dostrzegł Annie, prowadzoną niemal na siłę za rękę przez panią Drummond. Była wyraźnie wystraszona, a co gorsza, miała podkrążone oczy i czerwony nos, tak jakby przed chwilą płakała. Po chwili do uszu Sinclaira doleciał głos jego matki:

- Nie bój się, kochana, nie musisz znać reguł, są bardzo proste. Obserwuj, co robią inni i staraj się ich naśladować. I zawsze będziesz miała pod ręką Dwighta, który ci wszystko wytłumaczy.

Dwight? Wysportowany, opalony na heban młodzian o nordyckim profilu twarzy i opadającej na oczy grzywie jasnych włosów, z którym Sinclair kiedyś razem żeglował, usłużnie podał swój młotek Annie i zaczął jej wyjaśniać, jak ma się złożyć do uderzenia i w co celować. Annie przymierzyła się, uderzyła i piłka sprawnie przeszła przez pierwszą z bramek.

- Brawo! - zawołał Dwight, a Sinclair, ku swemu całkowitemu zaskoczeniu, poczuł, że gardło mu się zaciska z zazdrości.

W momencie, kiedy uderzał Dwight, Sinclair przeprosił Lally i podszedł do Annie.

- Wszystko w porządku? - zapytał.

- Jak najbardziej - odparła. - A co?

- Noo... - pokazał odruchowo palcem na jej twarz - trochę zaczerwieniona jesteś.

- Tak, alergia. Początek lata jest dla mnie zawsze trudny.

Alergia? Sinclair nie przypominał sobie, by Annie uskarżała się wcześniej na alergię, ale kto wie? W końcu nie dostrzegał jej prawie wcale przez te sześć lat. Nie wiedział na przykład, że zawsze, czy prawie zawsze, upinała włosy w kok.

Tymczasem Dwight po równie udanym uderzeniu wrócił do Annie i podjął z nią przerwana rozmowę, zupełnie ignorując obecność Sinclaira. Co gorsza, Annie też odwróciła się do niego plecami i wydawała się całkowicie pochłonięta konwersacją z Dwightem. Sinclair poczuł, jak ogień trawi mu wnętrzności. Na Boga, co się ze mną dzieje? - jęknął w duchu i czym prędzej wrócił do swej botoksowej Lally.

- Co z tobą, Sin? - zapytała Lally, przerażona nagłą zmianą w jego twarzy.

- Nie wiem. Potrzebuję drinka, szybko!

- Drinka? Dobra. Gdzie jest ta dziewczyna, która je roznosiła? A, tutaj!

Lally podeszła do Annie i przerywając jej rozmowę z Dwightem powiedziała:

- Sinclair potrzebuje drinka.

- Wina czy czegoś mocniejszego? - zapytała Annie bez cienia zażenowania.

Dwight natomiast osłupiał. W sprawę wmieszał się sam Sinclair:

- Już dobrze, nic nie chcę - zapewniał.

- Ale przecież sam przed chwilą mówiłeś... - Lally była zdezorientowana.

- Już mi lepiej, dziękuję. I przepraszam - te ostatnie słowa powiedział, patrząc na Annie.

W tym momencie w środek towarzystwa weszła pani Drummond, niosąc tacę z ciastkami.

- Kto wygrywa? - spytała. - Zgaduję, że mój syn i Lally.

- Gra jeszcze nie jest zakończona... - przypomniał Sinclair, Annie natomiast rzuciła się w stronę jego matki, czy raczej niesionej przez nią tacy:

- Proszę mi to dać! - powiedziała tonem niemal rozkazującym.

- Ani myślę! Jesteś teraz częścią tej gry i tego towarzystwa, Annie. Komu ciasteczko, komu? Naprawdę dobre ciasteczka...

Późnym wieczorem Annie wstępnie oplukiwała i wsadzała do zmywarki naczynia i tacki, na których rozkładano kanapki, zakąski i ciastka, a także kieliszki, w których podawano drinki. Cieszyła się, że party już się skończyło i przede wszystkim, że się w jego trakcie nie rozsypała, a nawet zdołała zagrać w grę, o której nie miała wcześniej pojęcia i pokonwersować trochę z młodym przystojnym mężczyzną, który nie był Sinclairem. Tę próbę miała już za sobą, kolejne dni powinny być spokojniejsze, o ile oczywiście pani Drummond nie zarządzi jakichś nowych działań towarzyskich.

Zamyślona, ledwie zauważyła wejście do kuchni Vicki.

- Powiedz mi, kochana, co was łączy? - spytała, jak zwykle bezceremonialnie, Vicki.

- Co takiego? - spytała, przestraszona, czy przed chwilą przypadkiem sama nie rozmawiała ze sobą na głos.

- Nie udawaj. Dzisiaj widać to było nie tylko po tobie, bo wiem, że ryczałaś, ale i po nim. Prawie dostał zawału, jak olałaś go i zaczęłaś rozmawiać z tym blondaskiem.

- Co ty w ogóle...? - zszokowana Annie nie mogła znaleźć odpowiednich słów.

Zatem Vicki tam była i wszystko dokładnie obserwowała? A Annie nawet nie zauważyła jej obecności.

- Coś między wami było? - dopytywała się Vicki.

- Nie, skąd.

- Przeleciał cię i beztrąsko zostawił?

Annie upuściła talerz na dno zlewu. Nie rozbił się wprawdzie, ale gest ten nie wzmocnił pozycji przetargowej Annie w rozmowie.

- No tak, wiedziałam - skwitowała to Vicki. - Oni wszyscy są tacy sami, nadęte dupki.

Annie zebrała absolutne resztki sił, żeby się przeciwstawić temu atakowi.

- Vicki, nie wiem, do czego zmierzasz, ale... wydaje mi się, że to raczej ty do niego coś czujesz i wszędzie naokoło węszysz zagrożenie. Powiedz mi szczerze: zasadzasz się

na Sinclaira i dlatego robisz wszystko, żeby wyglądało na to, że to ostatnia myśl, jaka by ci na myśl przyszła? Trafiłam?

Teraz Vicki zatkało; nie spodziewała się po Annie zdolności do kontrataku.

- Ja... - powiedziała po chwili. - Czy wyobrażasz sobie mnie obok niego na ślubnej fotografii?

- Czemu nie? - odpowiedziała Annie, wyraźnie spokojniejszym już tonem. - Wyglądalibyście razem całkiem nieźle.

Vicki zamyśliła się. Zupełnie straciła impet, z którym wtargnęła do kuchni.

- Wiesz, Annie - powiedziała bardzo cichym głosem, sięgając ręką po selera leżącego na jednej z niedojedzonych tac z dipami. - Wyglądać razem dobrze to jeszcze nie wszystko. Dobrze wyglądał na przykład na zdjęciach z Dianą.

- I... co się z nimi stało?

- Sama wiesz lepiej. Zupełnie inny charakter. Widziałaś ją tutaj kiedyś?

- Raz. I raz na ich ślubie, wesele mieli gdzie indziej, tu było podobno za mało miejsca na gości.

- Diana nie lubiła tego miejsca, tak jak nie lubiła wszystkich prawie miejsc i rzeczy, które lubił Sinclair. Nie byłam zbyt blisko niego przez ostatnie lata, ale tyle przynajmniej mogłam wywnioskować. A mam, nieskromnie mówiąc, do tych spraw nosa. Mówiąc prawdę, nie wiem, co w ogóle trzymało ich razem. Ale w sumie, to nie nasza sprawa, nie moja w każdym razie - dodała Vicki, po czym bez słowa skierowała się w stronę drzwi.

Annie odetchnęła głęboko, ale nie był to koniec jej udręk tego dnia. Oto stojąc już w drzwiach, Vicki odwróciła się i rzuciła za siebie:

- Nadal myślę, że coś między wami było. Po czym odeszła na dobre.

Następnego ranka pani Drummond zarządziła kolejną turę przetrząsania strychu. Sinclair wyjechał do jednej z sąsiednich posiadłości na mecz golfa z potencjalnym klientem, została natomiast Vicki i niemal od początku denerwowała Annie.

- Ten zestaw noży myśliwskich jest na pewno coś wart - powiedziała Vicki, podnosząc ku światłu jeden z pokrytych śnieżką noży. - Mogłabym je wstawić na jakiś portal aukcyjny - zaproponowała, zwracając się do pani Drummond.

Annie przygryzła wargę. Jej podejrzenia zaczęły się sprawdzać. Vicki chce rozprzedać antyki Drummondów i oczywiście zarobić na tym jako pośrednik. Annie zauważyła od początku, że Vicki robiła staranne notatki na temat każdego z przedmiotów, który wydawał się choćby odrobinę cenny.

- To chyba dobry pomysł - odpowiedziała pani Drummond. - Nie można tego wszystkiego trzymać tu w nieskończoność.

- Wiele z tych rzeczy wcześniej czy później się porozpada - wtórowała jej Vicki. - A tak, być może znajdą kogoś, kto zrobi z nich jeszcze przez jakiś czas użytek.

- Ale przecież to majątek rodowy Drummondów! - protestującym tonem powiedziała Annie, po czym zdała sobie sprawę, że chyba posunęła się trochę za daleko.

- Rzeczywiście - przyznała pani Drummond, oglądając jakiś dziwaczny skórzany przedmiot niewiadomego przeznaczenia i udając, że nie zauważyła żadnej niestosowności w uwadze Annie. - Ale może Drummondowie wyszliby na tym lepiej, gdyby wyprawdzili stąd trochę tego rupiecia i zrobili miejsce na nowe rzeczy?

Annie nie wiedziała, co na to odpowiedzieć. Pani Drummond miała oczywiście wiele racji - po co na przykład trzymać na strychu celuloidowe kołnierzyki do koszul? Denerwowało ją jednak podejście typu „rozprzedać wszystko na pniu”, do czego parła przecież w praktyce Vicki.

- Ale... - powiedziała po namyśle Annie. - Może dzieci Sinclaira będą chciały się w tym kiedyś grzebać? On sam mówił mi, że jako chłopiec uwielbiał tu przebywać - dodała, omijając starannie tę część opowiadania Sinclaira, w której wyjaśniał, że bywał tutaj głównie, kiedy jego rodzice się kłócili.

Argument dzieci Sinclaira podziałał na panią Drummond jak magiczna różdżka.

- Masz absolutną rację, Annie - powiedziała. - Dzieci Sinclaira będą miały tu swoją wyspę skarbów. Zostawiamy wszystko tak jak jest i wracamy - zarządziła.

Wszystkie trzy ruszyły ku schodom. Vicki nie mogła się powstrzymać przed posłaniem Annie jadowniczo nienawistnego spojrzenia.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Annie zdecydowała, że musi porozmawiać o Vicki z Sinclairem. Nienawidziła donosicielstwa, ale z drugiej strony nie mogła pozwolić, by ktoś obcy - a Vicki nie była w końcu członkiem rodziny - pozbawiał Drummondów ich dziedzictwa, choćby tylko w postaci zalegających na strychu gratów. Widok Vicki sporządzającej dokładne listy odnalezionych „skarbów” przyprawiał ją o białą gorączkę. Wiedziała, że to nie do końca jej sprawa, ale... nie mogła się powstrzymać.

- Sinclair - powiedziała, wchodząc po południu do kuchni, gdzie, jak wiedziała, dziedzic Drummondów miał zwyczaj czytać czasem gazetę, zwłaszcza kiedy salon zajmowała w tym czasie jego matka.

- Annie? Witaj! Co tam nowego? - ożywił się Sinclair, odkładając na blat stołu „New York Timesa”, otwartego na stronie z rubrykami giełdowymi.

Annie delikatnie zamknęła za sobą drzwi, co już lekko zdziwiło Sinclaira.

- Przepraszam cię, ale... przyszłam porozmawiać o Vicki.

- O Vicki? Coś między wami nie tak? - zainteresował się Sinclair, nie bardzo wiedząc, czego się spodziewać.

- Nie. Nie o to chodzi. Vicki była z nami, to jest z panią Drummond i ze mną, na strychu i przeglądała zawartość tamtejszych pudeł i kufrów - powiedziała Annie, zawieszając głos, jak gdyby oczekiwała, że już ta wiadomość wywoła gniewną reakcję Sinclaira.

Nic takiego jednak się nie stało. Wręcz przeciwnie.

- W końcu po to tu przyjechała - zauważył Sinclair, nie bardzo rozumiejąc, dlaczego obecność Vicki na strychu aż tak wzburza Annie.

- Nie wiem, może to nie moja sprawa... - powiedziała Annie, czując, że emocje rozsadzają ją po prostu od wewnątrz - ale nie podoba mi się, jak ona robi te szczegółowe opisy każdej znalezionej rzeczy, która przedstawia sobą jakąś wartość materialną.

- Annie, spokojnie - próbował opanować sytuację Sinclair. - Vicki jest profesjonalnym sprzedawcą antyków i na pewno wie, co robi.

- Tego nie kwestionuję. Chodzi mi o jej zachłanność. Najchętniej wszystko po prostu rozprzedałaby na pniu, a przecież to są rzeczy gromadzone przez długie stulecia przez twoich przodków. Sinclair, tego nie można się tak w ciągu jednego dnia pozbyć. To była przecież jakaś część ich życia...

Sinclair popatrzył na nią uważniej. W pierwszym odruchu pomyślał, że Annie zwaśniowała, albo też Vicki musiała nadebrać jej na odcisk, jak to często bywa między młodymi kobietami, i Annie szuka teraz na nią jakiegoś haka. A może obie rywalizują o jego względy i jedna próbuje wygryźć drugą? Ta niespodziewana myśl rozbawiła go i z trudem powstrzymywał się, by nie wybuchnąć śmiechem.

Annie poczuła, że chyba się zapędziła oraz że pomysł przyjścia z tym problemem do Sinclaira był chybiony. Ale skoro już zaczęła...

- Wiem, jestem tu tylko gosposią - powiedziała. - Ale właśnie jako gosposia mam prawo i obowiązek dbać o dobro tego domu, a myślę, że wyprzedaż waszych rodowych skarbów dobru temu nie posłuży. Widziałam, jak Vicki siedzi godzinami w salonie na eBayu, być może już coś tam wystawiła.

- Może moja matka poprosiła ją o coś takiego?

- Nie sądzę - odpowiedziała Annie. - Na koniec naszego pobytu na strychu pani Drummond kazała nam wszystko zostawić w nietkniętym stanie. Powiedziała, że te rzeczy mają tam zostać dla jej wnuków.

Annie nie chciała dodawać, że sama miała niebagatelny udział w podjęciu przez panią Drummond tej decyzji.

- Jasne - odparł po chwili milczenia Sinclair.

- Wszystko się kręci wokół jej hipotetycznych wnuków, nie wiem tylko, kto miałby je spłodzić. Ja stawiam na to, że ta linia Drummondów wymrze wraz ze mną, zatem nie mam nic przeciwko wystawieniu całości rupieci ze strychu na sprzedaż. Ale... - tu zawiesił głos, widząc przerażoną minę Annie - bardzo mnie cieszy, Annie, że tak dbasz o nasze dobra. Naprawdę, jestem wzruszony.

Annie przygryzła wargę. Jej strategia przyniosła skutek odwrotny do zamierzonego. Postanowiła jednak grać *va banque*.

- Myślę, Sinclair, że powinieneś dać jej te wnuki - powiedziała, mówiąc na tyle autorytatywnie, na ile była w stanie.

Aż sama się zdziwiła, że jej to tak gładko poszło.

Słyszając to, Sinclair prawie oniemiał, ale po chwili ochłonął i z diabolicznym uśmiechem na twarzy zapytał:

- Mogę wiedzieć, dlaczego akurat tobie aż tak na tym zależy?

Bo byłbyś świetnym ojcem, pomyślała. Wymagającym, ale dobrym. I dzieci wyciągnęłyby z ciebie tego dzieciaka, który nadal siedzi w twojej duszy i trzyma się jej kurczowo rękami i nogami. Przy dzieciach byś wydorósł.

Wszystkie te słowa cisnęły jej się na usta, ale nie wypowiedziała ich.

- Nie wiem - powiedziała Annie po chwili, nieco już mniej pewnym siebie tonem. - Myślę, że masz dobre geny i szkoda, żeby się zmarnowały. Poza tym twoja mama będzie bardzo rozczarowana, jeśli jej tych wnuków nie dasz.

- Przeżyje to jakoś. Nie żyję przecież tylko po to, by ją zadowalać.

- Sinclair, czy ty sam nie chciałbyś mieć dzieci? - spytała Annie, czując, że coraz bardziej pograża się, dotykając spraw, które zwyczajnie nie były jej sprawami. Przecież gdzie indziej za podobne wścibstwo pan domu wywaliłby ją pewnie z pracy.

- Czy ja wiem? - odpowiedział Sinclair. - Kiedyś chciałem. Teraz raczej nie, bo nie chcę być samotnym tatą. A wszystko na to wskazuje, że żadna kobieta ze mną nie wytrzyma.

- To bzdura! - zachnęła się Annie. - Po prostu nie trafiłeś jeszcze na tę właściwą.

Gdyby tylko mogła mu powiedzieć, że ta właściwa kobieta stoi teraz przed nim...

Ale nie, to nie miało sensu. Sinclair stracił wtedy, trzy tygodnie temu, na chwilę kontrolę nad sobą, a kiedy oprzytomniał, doszedł do wniosku, że jej nie potrzebuje. No, może poza pastowaniem podłogi, przygotowywaniem posiłków i robieniem prania.

Nastąpiła dość niezręczna cisza. Napięcie spróbował rozładować Sinclair:

- Wiesz, pewnie coś w tym jest, co mówisz... - powiedział koncyliacyjnie, ale najwyraźniej nie umiał dobrać właściwych słów. - Tyle tylko, że... ja już nie chcę więcej ryzykować. Człowiek może się pomylić raz, w porządku. Czasami zdarzy się, że pomyli się drugi raz i to jeszcze mu można wybaczyć. Ale z trzema i więcej rozwodami na karku

można być tylko gwiazdą z Hollywood albo jakimś żałośnie śmiesznym człowiekiem. Naprawdę, nie chce mi się już próbować.

Annie nie wiedziała, co na to odpowiedzieć. Pomyślała, że jej też nie chce się już próbować.

- Pozwól, że zajmę się obiadem - powiedziała.

- To wcale nie jest najgorszy pomysł - przytaknął Sinclair, próbując się uśmiechnąć, ale wyszło mu to raczej średnio.

Czyli jestem dla niego tylko służącą, pomyślała Annie. I postanowiła wyjść, zanim ponownie powie coś niestosownego.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

- Nie, naprawdę nie mogę. Nie mogę tego zrobić - zapierała się Annie, nie przestając łuskać nad zlewem grochu na zupę.

- Możesz. I musisz tam iść! - przekonywała Vicki, a pani Drummond wspierała ją, potakując głową. Była piąta po południu i Vicki powinna się już ubierać w strój balowy. Miała iść jako towarzyszka Sinclaira na wielki bal organizowany przez organizacje charytatywne, na którym zbierała się śmietanka elit Nowego Jorku. Ale w ostatniej chwili Vicki potwornie zaczęła boleć głowa i wymyśliła, że pójdzie za nią Annie. Ta jednak stanowczo protestowała.

- Niech zgadnę - zaczęła ponownie Vicki. - Nie masz się w co ubrać?

- To nie tylko to - odpowiedziała Annie. - Nie zostałam zaproszona i... - to, co miała na myśli, nie mogło jej jakoś przejść przez gardło.

- Nie twoje sfery? - zgadywała pani Drummond niedopowiedzianą myśl Annie. - To bzdura, to wielkie party dla wszystkich. Ma być ponad pięćset osób. Sinclair nie może iść sam, bo to bal dla par. Tak zastrzegli organizatorzy. A Vicki naprawdę nie jest w stanie. Właśnie, Vicki, kochanie, nie potrzebujesz więcej aspiryny?

- Sama już nie wiem - odpowiedziała Vicki, wyglądająca na autentycznie zbolełą. - Wzięłam dwie podwójne, a łeb mi wciąż pęka.

- Miewasz migreny? - dopytywała się z matczyną troską pani Drummond.

- Do tej pory nie miałam.

- Może się więc połóżysz? Pomogłoby ci.

- Zgoda. Ale wcześniej chcę jeszcze zrobić Annie na bóstwo. Kopciuszek ma oczarować wszystkich! - powiedziała z figlarnym uśmiechem w oczach, a Annie zastanawiała się, czy uwaga o Kopciuszku była po prostu żartem, czy też przypomnieniem jej, kim jest naprawdę. Postanowiła jednak odnaleźć się w tej sytuacji i z równą wesołością rzuciła:

- Myślałam, że Kopciuszek ma oczarować księcia?

- Księżę już jest oczarowany - odpowiedziała Vicki, na co, strzygąc uszami, pani

Drummond zapytała:

- Zaraz, zaraz. Czy ja czegoś nie wiem?

W jej głosie pobrzmiwał wyraźny ton zaniepokojenia.

Tak, chciała odpowiedzieć Annie. Nie wiesz na przykład, stara, głupia babo, że gdybym nie stosowała antykoncepcji, to mogłabym już być matką twojego wnuka. Ale tego oczywiście Annie nie powiedziała.

- Ja naprawdę... - próbowała po raz ostatni przekonać obie kobiety - nie czuję się w tej roli komfortowo. Czy nie mógłby pójść z Sinclairem ktoś inny?

- Tysiąc kobiet zapewne zabijałoby się o ten honor, więc nie marudź - stwierdziła ze stanowczością Vicki. - Chodźmy mierzyć suknie, czas ucieka.

- Tak, chodźmy czym prędzej - zakomenderowała pani Drummond. - Wydaje się, że mam odpowiednią na tę okazję suknię od Zang Toia. Będzie w samy raz.

- Nie będzie chyba potrzebna - powiedziała tajemniczo Vicki, a widząc zdumioną minę pani Drummond, dodała: - Myślę, że Annie będzie bardzo do twarzy w którejś z sukien znalezionych na strychu.

O nie, tylko nie to, pomyślała Annie.

Ale było już za późno; Vicki na siłę zaciągnęła ją za rękę do pokoju garderobianego, gdzie w szafie wisiały suknie, które w tamten pamiętny dzień Annie zniosła z Sinclairem ze strychu. Byleby tylko nie kazała jej włożyć tej samej, błękitnej jedwabnej sukni! Nie, na to się nie zgodzi za żadne skarby świata.

Na szczęście Vicki wybrała dla niej inną z sukien, srebrzystoszarą, a Annie bez słowa się zgodziła, ciesząc się, że wybór nie padł na tamtą, która przyniosła jej tyle radości, ale zarazem tyleż potem cierpienia. Pani Drummond wprawdzie kwękała, że nie jest pewna, czy Annie się w wybraną przez Vicki suknię zmieści, a i sama Annie miała w tej kwestii pewne obawy, jednak udało się: suknia weszła na nią nawet łatwiej niż tamta, błękitna; w każdym razie czuła się w niej swobodniej.

- Wygląda rzeczywiście wspaniale! - zachwyciła się pani Drummond.

- Oczywiście, w dawnych czasach noszono pod to mnóstwo halek i krynolinę, ale oszczędzimy ci podobnych tortur, Annie - powiedziała Vicki. - Za to przydałyby się jakieś kolczyki w tym kolorze. Chyba mam coś takiego u siebie. No i pantofle na obcasie. Jaki masz rozmiar? Ten sam co mój, więc chyba coś znajdziemy.

Kiedy Vicki zakładała jej kolczyki, a pani Drummond zapinała na plecach guziki sukni, Annie zastanawiała się, jak na jej widok zareaguje Sinclair, święcie przekonany, że wybiera się na bal z Vicki. Może uzna to za zastawioną na niego pułapkę i odmówi uczestnictwa w party? To byłby dopiero wstyd!

Kiedy ubrały już Kopciuszką, obie odsunęły się o krok, by zobaczyć efekt swych wysiłków, i pani Drummond aż gwizdnęła cicho przez zęby, nie bacząc na przyjętą w jej sferach etykietę.

- Ależ ty masz figurę, dziewczyno! - powiedziała z tonem autentycznego uznania w głosie. - Dopiero teraz to widzę.

- Pytanie, czy Sinclair jej sprostą? - zagadnęła Vicki. - Czy będzie wystarczająco elegancki?

- O to się nie martw, kotku - zapewniła ją pani Drummond. - Mój syn zawsze wygląda elegancko, ma to w genach.

Obie panie nadal pogrążone były w poprawianiu detali stroju Annie - tu pani Drummond chciała ułożyć jakąś nazbyt jej zdaniem nierówną fałdę sukni, tam z kolei Vicki nie podobał się wymykający się z koka kosmyk włosów i próbowała go podkreślić - kiedy rozległy się na schodach kroki Sinclaira. Stał na dole, nie będąc pewny, gdzie znajduje się jego partnerka na ten wieczór.

- Jestem gotowy, Vicki! - zawołał. - A ty?

- Poczekaj minutkę, błagam, nie wchodź jeszcze! - odkrzyknęła Vicki z pokoju garderobianego.

Z minutki zrobiło się co najmniej pięć i Sinclair zaczął się powoli denerwować. W końcu Vicki zawołała, że może już wejść. Zrobił to i spotkał się oko w oko ze stojącą na środku pokoju Annie, która miała minę zbitego psa i tak dokładnie się czuła.

Ale w twarzy Sinclaira nie drgnął ani jeden mięsień. Niemym wzrokiem wpatrywał się w Annie przez dwie lub trzy sekundy, po czym, jak gdyby nigdy nic, zapytał:

- Idę na bal z Annie?

Nie bardzo było wiadomo, do kogo skierował to pytanie, ale Annie czuła się w obowiązku wyjaśnić:

- Vicki źle się poczuła i poprosiła, żebym... - tu zabrakło jej słów.

Zrobiło jej się gorąco, a unoszące się piersi wypełniły dekolt sukni.

- Strata Vicki jest moim zyskiem - skwitował zmianę planów Sinclair, nie odrywając wzroku od Annie. - Idziemy, szkoda czasu. Kierowca już czeka.

Kierowca? No tak, Sinclair nie będzie sam prowadzić, bo pewnie coś wypije, jak to na balu. Pochłonięte ubieraniem Annie, w pozbawionym okien pokoju, panie nie usłyszały nawet warkotu podjeżdżającej pod dom limuzyny.

Umundurowany szofer otworzył przed nią drzwi i po chwili Annie siedziała już w luksusowym lincolnie, starannie układając wokół siebie fałdy sukni. Sinclair obszedł samochód z drugiej strony i usiadł obok niej. Siedzenie było na tyle szerokie, że między nimi spokojnie zmieściłaby się jeszcze jedna osoba, ale i tak Annie wyczuwała iskrzące między jego a jej dłońmi napięcie. Wkrótce jednak jej uwagę przyciągnął mówiący z brooklińskim akcentem kierowca.

- Zawiozę państwa i będę czekał, ile będzie trzeba. Niezła imprezka, słyszałem. Ponoć wydali na nią ponad dwa miliony. Tak przynajmniej mówią u nas w firmie. Zarezerwowane są wszystkie limuzyny na mieście - czegoś takiego naprawdę nie pamiętam.

W czasie jazdy Sinclair mocno się zamyślił i widząc pytający wzrok Annie, wyjaśnił:

- Zastanawia mnie ta nagła niedyspozycja Vicki...

- Ponoć bardzo rozboleła ją głowa.

- To ciekawe, bo w szkole była okazem zdrowia, nie była chyba ani dnia na zwolnieniu lekarskim.

- Myślisz, że tę całą sytuację zaaranżowała?

- To by było bardzo w jej stylu.

- Ale o co mogłoby jej chodzić? - zastanowiła się Annie. - Chyba nie powiedziałeś jej o...

W tym momencie ugryzła się w język, zdając sobie sprawę z obecności szofera. Ten jednak najwyraźniej na nic nie zwrócił uwagi, a w każdym razie takie sprawiał wrażenie - dyskrecja jest ponoć podstawową, obok prowadzenia samochodu, umiejętnością wymaganą od kierowców limuzyn.

- Oczywiście, że nie! - niemal z oburzeniem odpowiedział Sinclair i Annie natychmiast pożałowała swojego pytania.

- Przepraszam, tak jakoś... palnęłam. Bo też kompletnie nie rozumiem, po co miałyby coś podobnego robić.

- W szkole znana była z knucia intryg i nاپuszczania jednych na drugich - wyjaśnił Sinclair. - Chociaż ja akurat ją lubiłem i nie miałem z nią na pieńku. Może raz czy dwa o coś się pożarliśmy, ale zaraz nam przeszło.

Annie poczuła, że lepiej będzie, jeśli zmieni temat, bo czuła, że rozmowa o manipulacjach Vicki, dzięki którym znalazła się na balu jako partnerka Sinclaira, może zaprowadzić ich na pole minowe, a eksplozja miny tym razem będzie na tyle głośna, że szofer nie będzie mógł jej zignorować.

- A jak tam pani Drummond? - spytała, sięgając po dyżurny w takich sytuacjach temat. - Z radością widzę, że z dnia na dzień odzyskuje siły.

- Tak - przyznał Sinclair. - Dog Harbor najwyraźniej jej służy. Jest jednocześnie u siebie, a zarazem na wakacjach; wiesz przecież, jak lubi jeździć.

- Myślę, że poza morskim powietrzem służy jej także... zaduch twojego strychu - zauważyła żartobliwie Annie.

Sinclair zaśmiał się.

- Masz absolutną rację. Matka dostała hopla na punkcie tego kielicha. Gdyby nie zakaz lekarza, już by pewnie szturmowała jakieś zamki w Szkocji czy na Key West pukała do drzwi domu Jacka Drummonda.

- Nie mogę wprost uwierzyć, ile cennych rzeczy znajduje się na tym strychu - powiedziała Annie, po czym ugryzła się w język, bo może lepiej nie mówić takich rzeczy przy obcych.

- I bardzo dobrze. To da mojej matce zajęcie na dłuższy czas i może przestanie mi wreszcie wiercić dziurę w brzuchu w sprawie trzeciego małżeństwa i wnuków.

Annie nie wiedziała, jak na to zareagować. Nie mogła mu przecież powiedzieć, że to jej uwaga o przyszłych wnukach Sinclaira pozwoliła uratować najcenniejsze rzeczy na strychu. Inaczej ani chybi Vicki już sprzedawałaby je w internecie.

Tymczasem Sinclair oparł dłoń o wykonane z cielejącej skóry siedzenie lincolna. Jego palce znalazły się teraz o kilka centymetrów od jej uda, niemal dotykając fałdy sukni, i Annie nie mogła się powstrzymać przed fantazjowaniem, że Sinclair przesuwając swą dłoń bliżej niej, jeszcze bliżej...

- Ta suknia leży na tobie idealnie, zupełnie jakby była szyta na ciebie! - powiedział Sinclair. Ta uwaga nie zastąpiła wprawdzie przyjemności, jakiej bez wątpienia dostarczyłby dotyk jego dłoni, ale i tak była bardzo miła.

- Myślę jednak, że kobieta, dla której ją uszyto, była znacznie szczuplejsza ode mnie, tyle że zawsze miała na sobie sporą warstwę halek, krynolinę, no i oczywiście gorset.

- A... ty nie masz nic? - zapytał Sinclair.

- W każdym razie niewiele - powiedziała, rumieniąc się. Przypomniała sobie, że nie ma nawet stanika, który zdjęła za radą pani Drummond, bo dekolt sukni był bardzo głęboki i eksponował rowek między piersiami. Niewątpliwie Sinclair zauważył go już na samym początku i czuła się z tym trochę niezręcznie, ale cóż, pomyślała sobie, że w końcu jest Kopciuszkiem i jedynym jej obowiązkiem tego wieczoru jest uwodzić księcia. A o północy czar przestanie działać i limuzyna z umundurowanym szoferem zamieni się w dynię. Uśmiechnęła się na tę myśl.

- Co cię tak rozbawiło? - zapytał Sinclair.

- A, nic takiego - odpowiedziała. - Nie mogę uwierzyć, że dzięki migrenie Vicki jestem oto na balu z dziedzicem rodu Drummondów, rekinem Wall Street.

- Nie przesadzaj, mój fundusz nie jest nawet w pierwszej trzydziestce notowanych na giełdzie.

- Ale jako jedyny zyskuje w czasach kryzysu.

- Tak, ale to chyba cud - mówił, zupełnie szczerze. - Czasami myślę, że jedyną przyczyną tego wzrostu jest to, że kompletnie nie znam się na biznesie i postępuję wyłącznie w oparciu o intuicję - dodał.

Annie zastanawiała się, jak Sinclair przedstawi ją znajomym, bo że tacy tam będą, to pewne. „To Annie Sullivan, moja gosposia” - nie brzmiałoby najlepiej. „Moja stara znajoma, Annie” - od biedy ujdzie. „Największa miłość mojego życia” - Annie ponownie zachichotała w duchu, ale tym razem zadbała o to, by Sinclair tego nie zauważył.

Ich lincoln podjechał pod rezydencję na samym brzegu morza, który tu jednak był bardziej urwisty niż w Dog Harbor. Przed domem, na podjeździe, stało już kilkanaście limuzyn, zatem ostatnie sto czy więcej metrów musieli przejść pieszo. Sama rezydencja zbudowana była tak, że wbijała się właściwie w stok nadmorskiej skarpy i wchodziło się do niej po schodach. Sinclair podał jej ramię i zaczęli się wspinać. Annie czuła teraz fizycznie bliskość jego ciała i zaczęła w podnieceniu drzeć. Zrozumiała, że jej jedynym zadaniem na ten wieczór jest przeżyć go i nie zrobić przy tym nic głupiego. Co może być trudne, pomyślała.

- Nie denerwuj się - próbował uspokoić ją Sinclair. - To zwykli ludzie, tacy sami jak my, nawet jeśli mają garnitury od Armaniego, a suknie... sam nie wiem od kogo.

- Zang Toia.

- Dlaczego akurat Zang Toia?

- Twoja mama ma suknię od Zang Toia.

- Moja mama ma wszystko, co wypada mieć w danym sezonie. Przeczyta o czymś w zurnalu i idzie to kupić. Mogłaby mieć trochę własnej inwencji...

- Nie narzekaj - powiedziała Annie. - Masz świetną, kochającą cię matkę...

- Tak, tyle że troszkę zwariowaną.

- Może to klątwa Drummondów? Ustaliliśmy przecież, że dotyka nie tylko mężczyzn.

- Tak. Niech ona znajdzie jak najszybciej ten fragment kielicha...

- Co to da? Nadal będą do odnalezienia pozostałe fragmenty.

- Da przynajmniej to, że odwiedzisz Szkocję.

- Co?!

- Matka przecież nie może, a ktoś pojechać musi. Ona przecież nie ustąpi. Mając jeden fragment w ręku, tym bardziej będzie chciała odnaleźć drugi i trzeci. Pośle cię zatem do Szkocji, a pewnie i na Florydę.

- Mnie? Dlaczego na przykład nie ciebie? Albo Vicki.

- Vicki już prędeż... Ja nie mam czasu. Zresztą... nie kręci mnie ta historia aż tak.

A może powinna, pomyślała Annie. Bo to życie Sinclaira kielich miał przede wszystkim odmienić. Sinclair postanowił jednak zmienić temat.

- Patrzę sobie na wszystkie mijane kobiety, ale strój żadnej nie umywa się nawet do twojego - powiedział. - Wyglądasz naprawdę nieziemsko, Annie!

Ach, jak lubiła, kiedy mówił do niej po imieniu! Przypomniało jej się, jak szeptał to imię wtedy, w łóżku... Ale o tym miała przecież zapomnieć.

Z zamyślenia wyrwał ją kobiecy głos:

- Sinclair, kochany, jesteś! - mówiła jakaś blond piękność o długich nogach, rzucając się Sinclairowi na szyję i całując go w oba policzki. - Mój mąż już się bał, że nie przyjdiesz. Zaszczycisz nas rozmową? Nie daj się prosić! Robimy właśnie plany noworoczne. Wyobraź sobie, chcemy wynająć łódź i popłynąć na Karaiby. Jestem strasznie ciekawa, co o tym sądzisz. Ale - tu dopiero natarczywa blondynka zauważyła obecność Annie - kimże jest ta młoda dama u twego boku?

- Mam przyjemność być tego wieczoru na usługi panny Annie Sullivan - odpowiedział Sinclair. A zwracając się do Annie, dodał: - To jest Glaymour Smith, żona mojego kolegi ze studiów.

Glaymour przyjrzała się Annie dokładnie.

- Przysięgłabym, że już gdzieś panią widziałam.

Annie nie wiedziała, co odpowiedzieć. Było dość prawdopodobne, że podawała jej kiedyś drinki, jeśli ta była gościem na którymś z party organizowanych w Dog Harbor. Inna rzecz, że jej akurat Annie nie pamiętała, a miała dobrą pamięć do twarzy.

- Być może - odpowiedziała z rezerwą. - Chociaż nie przypominam sobie.

- No tak, ja też nie bardzo, tak mi się tylko zdawało... - mówiła Glaymour, choć mogła myśleć co innego. - Ale chodźcie do nas, omawiamy właśnie... Aha, już mówiłam.

- Za chwilę do was dołączymy - powiedział Sinclair. - Musimy się najpierw przywitać z paroma znajomymi - dodał, ujmując Annie pod łokieć i prowadząc w wir tłumu.

- Dzięki, że mnie nie przedstawiłeś jako gosposi - powiedziała Annie. - Choć z drugiej strony, jestem nią przecież.

- Ale tu nie jesteś ze mną jako gosposia, tylko moja partnerka.

- Glaymour mogła zapamiętać mnie jako gosposię.

- Niech zatem to będzie jej problem i nie psuje nam dzisiejszego wieczoru - powiedział Sinclair, po czym z tacy przechodzącego obok kelnera wziął dwa kieliszki z szampanem.

- Za twoje szczęście, Annie - powiedział, podając jej kieliszek.

Za nasze szczęście, chciała powiedzieć, ale nie odważyła się. Zastanawiała się zatem, za co wnieść toast.

- Za twoje szczęście, Sinclair - powiedziała wreszcie. - Niech klątwa przestanie ciążyć nad Drummondami.

- O, do tego jeszcze daleka droga - odparł, po czym oboje wypili do dna.

- Na Boga, nigdy nie widziałem bardziej zniewalająco wyglądającej kobiety niż ty, Annie - powiedział Sinclair, a Annie poczuła, że z jej ciałem dzieje się coś dziwnego. Miała wrażenie, że unoszący się w rytm przyspieszonego oddechu biust za chwilę rozerwie rodową suknię Drummondów i będzie po zabawie. To niemożliwe, żeby szampan podzielał tak szybko, pomyślała.

- A ja nigdy w swoim życiu nie widziałam bardziej przystojnego mężczyzny, Sin - powiedziała, gdy tylko zdołała nieco ochłonąć.

- Chodźmy tańczyć! - zarządził Sinclair i nie czekając na odpowiedź, pociągnął ją w stronę parkietu. Oszołomiona Annie nawet nie zauważyła, że orkiestra zaczęła jakiś

czas temu grać otwierającego zabawę walca angielskiego i pierwsze pary kręciły się już na urządzonym pod gołym niebem parkiecie. Nie zdążyła też zaprotestować i powiedzieć mu, że nigdy w życiu nie tańczyła walca i nie zna kroków. Ale nie było to potrzebne. Objęta mocnym uściskiem ramienia Sinclaira podążała dokładnie tam, gdzie należało. Pozwalała mu się po prostu prowadzić i zapewne nikt z obserwatorów nie uwierzyłby, że Annie tańczy właśnie walca po raz pierwszy. Ciekawe, czy zauważył to Sinclair?

- To nieprawdopodobne... - powiedział Sinclair, kiedy odpoczywali po drugim z walców, wiedeńskim.

- Co takiego? - zainteresowała się Annie.

- Nieprawdopodobne, jak wiele tajemnic w sobie skrywasz. Odkrywam je teraz z każdym dniem, a znamy się przecież od sześciu lat. Nie wiedziałem na przykład, że jesteś doskonałą tancerką.

- Sinclair, tańczę walca po raz pierwszy w życiu.

- W takim razie... Nie wiedziałem, że jesteś tak piękną kobietą.

Annie spochmurniała nieco. Nie wiedziała, co na to odpowiedzieć, a raczej wiedziała, tylko nie wiedziała jak.

- Sinclair... - powiedziała w końcu. - Ja niczego nie skrywam. Ty zwyczajnie... na mnie dotąd nie patrzyłeś.

- O ja głupi... - jęknął Sinclair. - Głupi i ślepy!

- Widać tak miało być, Sin - powiedziała pocieszającym tonem. - Cieszymy się zatem tym dniem, tą chwilą i nie myślmy teraz o tym, co było i co będzie.

- Masz rację, Annie. Jesteś równie piękna jak mądra - powiedział Sinclair, po czym pociągnął ją znowu na parkiet.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Po dwóch godzinach Annie była już bezsprzecznie królową balu i mogłaby startować w konkursie tańca towarzyskiego, no, może z wyjątkiem fokstrota. Po kolejnej godzinie oboje byli już jednak na tyle zmęczeni, że zdecydowali się nieco przejść, by złapać trochę świeżego powietrza, a najlepiej zalec w jakichś fotelach, leżakach, czy choćby na trawie nad morzem, w jakimś bezludnym miejscu. Ale nigdzie takiego miejsca nie widzieli, wszędzie natykali się na pary lub grupki ludzi.

W pewnym momencie znaleźli się na urwistym brzegu i przed sobą, nad wschodnim horyzontem zobaczyli wstający z morza księżyc. Przystanęli i patrzyli w niego jak zaczarowani. Była pełnia i z morza podniosła się idealnie okrągła tarcza księżyca o ciemnożółtej, miodowej barwie.

- Myślisz, że organizatorzy balu zamówili ten księżyc? - zapytał Sinclair.

- Nie wiem - odpowiedziała Annie. - Ale na pewno byłoby ich stać: jest tu przecież śmietanka towarzyska Nowego Jorku, stolicy świata. No i w tym wszystkim ja...

- Nie wiem, ile za to zapłacili, ale na pewno widok wart jest tych pieniędzy.

W tym momencie gdzieś na prawo od księżyca południową stronę nieba na krótko rozświetliła jasna kreska spadającej gwiazdy. Trwało to sekundę, najwyżej dwie - jak gdyby ktoś od tamtej strony pocierał o powierzchnię nieba zapalką, która w końcu się zapaliła, po czym natychmiast zgasła.

- Pomyśl sobie szybko jakieś życzenie! - powiedział Sinclair. - Coś, co bardzo byś chciała mieć. Podobno jeśli się coś takiego pomyśli przy spadającej gwiazdce, to jest duża szansa, że się spełni.

Annie zastanowiła się. Co mogłaby chcieć mieć? Ma w sumie całkiem udane życie, mimo niezbyt udanego dzieciństwa. Choć i na to nie mogła narzekać. Pochodziła po prostu z niezbyt zamożnej rodziny, rodzice z trudem wiązali koniec z końcem i wszyscy zamieszkali w końcu u babci Annie przy Mapple Street w Connecticut, bo nie stać ich było na własny dom, a wynajmowanie mieszkań pochłaniało ogromne pieniądze. Ale przynajmniej nie było w tym domu przemocy, kłótni czy alkoholizmu jak w tylu innych. Rodziców Annie nie stać było na to, by posłać ją do dobrej, prywatnej szkoły, chodziła więc

do klasy wraz z innymi dziećmi z ubogiej dzielnicy i wiedziała, jakie piekło przeżywali w domu niektórzy z nich. Jej mimo wszystko taki los został oszczędzony.

Przypomniała sobie teraz ten swój dom w Connecticut, w dzielnicy niegdyś pełnej fabryk, a po ich zamknięciu pełnej bezrobocia. Jej ojciec od wielu lat był na rencie po wypadku. Stan zdrowia pozwalał mu wprowadzić na jakąś lżejszą fizycznie pracę, ale przyzwyczał się, że nic nie robi i było mu z tym dobrze. Matka pracowała jako salowa w szpitalu - trudno było z tego utrzymać rodzinę, pomagała zatem babcia, oddając im oszczędności ze swej emerytury. Annie sześć lat temu przeniosła się do Dog Harbor, w Connecticut została natomiast jej młodsza, obecnie czternastoletnia siostra, Sheena. Jej starsza siostra z kolei, Carol, wyszła za mąż i opuściła dom jeszcze przed Annie, ale jej małżeństwo okazało się nieszczęśliwe - szybko się rozwiodła i co jakiś czas, gdy nie radziła sobie finansowo, wracała ze swym kilkuletnim dzieckiem na Mapple Street, a kiedy tylko jej sytuacja trochę się poprawiała, wynajmowała jakiś kąt i się wyprowadzała.

- Chciałabym mieć własny dom - powiedziała Annie, zapominając, że życzenie należy wypowiedzieć w myślach.

- Własny dom? - zapytał Sinclair nieco zdziwionym tonem. - To kup go sobie.

- Łatwo powiedzieć - zachnęła się Annie. - Niby za co?

- Masz w końcu nie najgorszą pensję, jesteś oficjalnie zatrudniona. Dadzą ci kredyt bez problemu.

Dla niego to wszystko takie proste, pomyślała Annie. Marzysz o domu, to go sobie kup. Chcesz luksusowy samochód albo jacht morski, bierz kredyt z banku. Postanowiła być z Sinclairem szczerą.

- Wiesz, mam tę pracę, dopóki to co robię, podoba się tobie i pani Drummond - powiedziała.

- Nie przesadzaj! - zaprotestował Sinclair. - Wiesz dobrze, że możesz u nas zostać tak długo, jak będziesz chciała. Jesteś dla nas jak członek rodziny, no... prawie - dodał, zorientowawszy się, że może trochę się zagalopował. - Ale też rozumiem... że może nie chcesz spędzić kolejnych trzydziestu lat jako gosposia Drummondów i masz jakieś swoje plany na życie. Mama mi mówiła, że wspominałaś coś o szkole, że chciałabyś się nauczyć podstaw biznesu?

Kiedy zdążyła mu to powiedzieć? - przemknęło przez głowę Annie.

- Tak - odpowiedziała. - Mam taki pomysł. Właściwie to nikomu poza panią Drummond nie mówiłam o tym.

- Z chęcią dowiem się szczegółów - zapewnił Sinclair. - Zamieniam się w słuch.

- To nic takiego... - zapierała się Annie.

Ale skoro już zaczęła, postanowiła dokończyć.

- Zauważyłam, że niezłe idzie mi szydełkowanie i robienie na drutach. Zaczęło się od tego, że zrobiłam paru osobom w prezencie na urodziny kapcie czy szaliki z wełny i bardzo to chwalili. Pogrzebałam trochę w internecie i stwierdziłam, może nieskromnie, że jestem w stanie zrobić na drutach czy szydełkiem lepsze rzeczy niż ogromna większość tego, czym szydełkujące dziewczyny się chwala. No i przyszło mi na myśl, że mogłabym mieć swój sklep internetowy, wstawić tam kilkanaście zrobionych rzeczy, a resztę robić na życzenie klientów. Co o tym myślisz?

- Świetny pomysł! - odpowiedział z absolutną szczerością Sinclair. - Bazę popytowa masz zapewnioną, bo ludzie będą potrzebowali tych robótek choćby na prezenty. Zarazem masz, jak mówisz, nad innymi przewagę jakościową. Dystrybucję ułatwia internet. Słowem: sukces w zasięgu ręki!

- Ach, Sin, gdyby to naprawdę było takie proste!

- Ale być może to akurat jest proste! Nie będziesz tego wiedzieć, dopóki nie spróbujesz. A spróbować możesz przy minimalnych nakładach własnych. Annie, to może być pomysł na idealny biznes: nic do stracenia, a do wygrania potencjalnie wszystko. Tylko... po co ci do tego szkoła?

Annie zastanowiła się. Faktycznie, fach miała już w ręku, po co jej jeszcze szkoła?

- Nie wiem, Sin - odpowiedziała. - Coś mi mówi, że będzie lepiej, jeżeli to i owo będę wiedziała na temat teorii przedsiębiorczości. No i... głupio mi, że właściwie nie skończyłam żadnej szkoły. Chciałabym trochę pożyć studenckim życiem, choćby jego namiastką. Żeby nie wstydzić się potem przed własnymi dziećmi - dodała, zanim zdążyła ugryźć się w język.

- Zatem jeszcze pragniesz mieć dzieci, rodzinę? - spytał, nieco zamyślony Sinclair.

- To cię aż tak dziwi? - odpowiedziała pytaniem Annie. - Chyba każda kobieta pragnie mieć dom, rodzinę, dzieci.

- Najwyraźniej nie ze mną - odparł zdecydowanie grobowym już tonem.

- Sin, nie przesadzaj! - próbowała podnieść go na duchu, choć nie czuła się w tej roli komfortowo: w końcu to on omal nie złamał jej serca, nie ona jemu. - Dla mnie sprawa jest ewidentna: nie trafiłeś jeszcze na właściwą kobietę. Sama obrączka tego nie załatwi.

- A co załatwi?

- Nie wiem. Ale wydaje mi się, że niektórzy ludzie są sobie pisani, że to gdzieś jest z góry ustalone, w niebie czy sama nie wiem gdzie. I dopóki na siebie nie trafią, muszą się męczyć i wciąż popełniać błędy. Może to dziecinne, ale ja w to wierzę.

- I wierzysz, że kiedyś odnajdziesz tego kogoś ci pisanego?

- Nie wiem. Bardzo bym chciała.

Sinclair zastanowił się. Może Annie ma rację? Przypomniała mu się jego pierwsza żona, Muffy.

Poznali się na studiach, w Princenton, i zakochali w sobie bez pamięci; tak to przynajmniej na początku wyglądało. Też pochodziła z dobrego domu, jak zresztą wszyscy w Princeton; dzieci biedoty tam raczej nie było. Wzięli ślub tuż po dyplomie i kupili piękny dom w Connecticut, blisko morza. Ich rodziny były zachwycone. Ale potem zaczęły się schody: Sinclair miał poczucie, że odnalazł już swoje miejsce w życiu - miał dom, żonę, pracę, brakowało mu tylko dzieci. Muffy natomiast nie mogła dosłownie usiedzieć na miejscu: dyplom Princeton jej nie wystarczał, zrobiła doktorat z lingwistyki w Yale, potem parła do habilitacji. Nieustannie jeździła na konferencje naukowe po całym świecie i Sinclair coraz częściej zostawał w ich pięknym domu sam. Wreszcie powiedziała mu, że dostała propozycję objęcia katedry na uniwersytecie w Limie i zwyczajnie nie może odmówić, bo taka szansa może jej się już nie trafić. Oczywiście, zapewniała, że Sinclair może tam z nią pojechać... Ale cały świat Sinclaira był tu. Zaczęły się kłótnie, sceny zazdrości i wkrótce łączyła ich już tylko sprawa rozwodowa, na której nieobecną w kraju Muffy reprezentował jej adwokat. Dziś, z tego co Sinclair słyszał od znajomych, jego była żona ma jakąś posadę akademicką w Buenos Aires.

Kiedy zatem Sinclair poznał Dianę, wydawała mu się dokładnym przeciwieństwem Muffy, więc liczył, że tym razem się uda. Diana wydawała się stabilna, zawodowo spełniona i przypisana do jednego w zasadzie miejsca - prowadziła agencję PR, która obsługiwała szereg dużych firm medialnych w południowej i środkowej Kalifornii. Nie wyglądała zatem na osobę, która jutro rzuci wszystko, by zostać buddyjską mniszką w którymś z klasztorów w Tybecie. Sinclair musiał się dla niej przenieść do Kalifornii i to był pewien problem, niemniej nie było to Peru i jego biznes dało się prowadzić, latając nieustannie między Los Angeles a Nowym Jorkiem. Można nawet powiedzieć, że jego firma na tej zmianie zyskała, gdyż będąc osobiście w Kalifornii, Sinclair zdołał pozyskać do swego funduszu hedgingowego szereg tamtejszych inwestorów, zupełnie innych niż ci ze wschodniego wybrzeża. Kalifornijczycy nigdy nie podjęliby decyzji o utopieniu w czymś miliona dolarów bez rozmowy twarzą w twarz z osobą prowadzącą inwestycję czy choćby, jak w tym przypadku, pośrednikiem. Na Wall Street liczyły się tylko cyfry, tu, w Los Angeles czy San Francisco, trzeba się było spotkać, najlepiej przy kolacji, z winem, bez pośpiechu. Sinclair miał wręcz wrażenie, że tutaj dopiero zaczął się uczyć doceniania życia i zaczął się nawet zastanawiać, czy na stałe nie przenieść się do Kalifornii. Wtedy jednak między nim a Dianą zaczęło coś zgrzytać. Co dokładnie, nie umiał powiedzieć. Diana była osobą niezwykle towarzyską, co skądinąd tłumaczyło jej sukcesy w branży PR. Wieczór niespędzony na party, gali, wernisazu czy jakiegokolwiek tego typu imprezie był dla niej wieczorem straconym. Sinclair natomiast był typem domatora - nie stronił może od spotkań z ludźmi, ale preferował je w kameralnym gronie i nie z taką częstotliwością jak Diana. Zauważył ponadto z czasem jedną niezbyt przyjemną cechę swej małżonki - była ona naprawdę chorobliwie przywiązana do luksusu i pieniędzy. Życie, nawet zamożne, ale mimo wszystko pozostające w ramach jakiegoś podlegającego rozsądkowi budżetu, jej nie interesowało. Chciała być gwiazdą i jak każda gwiazda błyszczeć, najlepiej jaśniej od innych gwiazd. W końcu Diana znalazła sobie kogoś, ale ukrywała się z tym, bo nie chciała się tak łatwo rozstawać z pieniędzmi Sinclaira. Najwyraźniej ona też nie była mu, jak by to powiedziała Annie, pisana.

A sama Annie? Czy to mogłaby być kobieta, na którą tak naprawdę czekał? Sinclair aż się wzdrygnął na tę myśl - nie dlatego, że wydawała mu się aż tak niedorzeczna, ale... zastanowił się, dlaczego wcześniej nie przyszło mu to do głowy.

Czyżby chodziło o różnicę klas, pochodzenia? Oficjalnie nie uznawał takich podziałów, ale *de facto* żył w świecie je akceptującym. W swoim życiu nie stykał się z ludźmi z nizin społecznych, a Annie była Kopciuszkiem, który wszedł do jego domu ukradkiem. Teraz wydawała mu się ideałem kobiety, ale wcześniej przecież nigdy nie spojrzał na Annie w taki sposób, nigdy nie wydała mu się kimś, kto mógłby wchodzić w grę jako żona i matka jego dzieci. Nawet wtedy, kiedy znaleźli się w łóżku...

- O czym tak myślisz? - zapytała Annie.

Sinclair zorientował się, że popadł w dłuższe zamyślenie, odleciał gdzieś i zapomniał o bożym świecie.

- Przepraszam cię - powiedział. - Przypomniały mi się takie... różne sprawy z przeszłości.

- Pochłania cię przeszłość? Nie daję ci zająć się dniem dzisiejszym?

- Nie wiem. Myślałem akurat o swoich byłych żonach. I im więcej o nich myślę, tym bardziej się upewniam, że już się nigdy w życiu nie ożenię.

- Nie mówi głupstw!

- Naprawdę, Annie - powiedział, po czym, po krótkim zastanowieniu, dodał z tajemniczym uśmiechem: - Myślę, że bardziej od żony potrzebna mi dziś... dobra gosposia.

- No, tę to już masz! - zaprotestowała Annie. - Co więcej, świadczy ci ona dodatkowe usługi!

Znowu nie zdążyła ugryźć się w język. Sinclair spojrzał na nią osłupiały.

- Nie mówisz chyba o... - zapytał z bardzo niepewną miną.

- Mówię o towarzyszeniu ci na balu w staroświeckiej rodowej sukni - odpowiedziała z zaskakującą jak na nią pewnością siebie. To wszystko przez ten szampan, pomyślała.

Oboje wybuchnęli gromkim śmiechem.

- Chodźmy! - zarządził Sinclair. - W programie zapowiadali ostrygi i już na pewno zaczęli je serwować. Jeszcze inni nam je wyjedzą.

- Ostrygi... - zdziwiła się Annie. - Nigdy w życiu nie jadłam ostryg.

- Naprawdę? - zdumiał się Sinclair. - Spróbuj, to podobno doskonały afrodyzjak.

Annie zatrzymała kelnera roznoszącego szampana. Wzięła z tacy kieliszek i wypijała go duszkiem.

- Przy tobie nie potrzebuję afrodyzjaków - powiedziała, już nawet nie próbując gryźć się w język.

Tym razem to Sinclair się zarumienił i aby to ukryć, również wypił swojego szampana duszkiem.

- W takim razie zabiorę cię gdzie indziej - powiedział, po czym chwycił Annie za rękę i pociągnął w stronę pobliskiej przystani. Wepchnął Annie do pierwszej z brzegu łodzi i nie pytając nikogo o pozwolenie, zaczął ją odcumowywać. Chwycił w ręce wiosła i skierował łódź na wody zatoki, po czym skręcił w lewo i popłynął wzdłuż brzegu na północ, prosto na Gwiazdę Polarną.

- Dokąd płyniemy? - spytała zupełnie zaskoczona rozwojem sytuacji Annie.

- W nieznane - odpowiedział Sinclair.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Sinclair wiosłował wytrwale, prując toń zatoki, mimo sporej jak na nocną, zazwyczaj spokojną porę, fali: na morzu zerwał się wiatr, którego w ogóle nie odczuwali na łodzi. A może po prostu tak absorbowano ich narastające między nimi napięcie, że wcześniej, w trakcie tańca i rozmów, nie dostrzegali obecności lekkiej bryzy? Siedząc z przodu łodzi, odwrócony tyłem do kierunku, w którym płynęli, Sinclair wpatrywał się w siedzącą na ławce rufowej Annie, w fałdy jej pięknej sukni, pod którymi kryły się jeszcze piękniejsze nogi; pamiętał je dokładnie, ich piękno, a zarazem bladość, bo Annie najwyraźniej nie opalała się w ciągu długich dni spędzanych w Dog Harbor. Pamiętał resztę jej zniewalającego ciała... I pomyślał, że musiał być nie lada głupkiem, uciekając przed nią po tej „krótkiej chwili zapomnienia”.

- Jak tu pięknie! - powiedziała w którymś momencie Annie. - Nigdy nie byłam nocą na morzu. Widać chyba wszystkie gwiazdy na niebie.

Sinclair spojrzał w górę. Rzeczywiście, niebo było dosłownie usiane gwiazdami, a Mleczna Droga wydawała się schodzić po sam horyzont, a nawet niżej, bo jej bliźniaczy wizerunek odbijał się w wodzie. Tylko tu i ówdzie rozgwieżdżone niebo przecinała szybko mknąca po jego powierzchni chmura.

- Boże, nie widziałem tylu gwiazd od lat - przyznał. - W ogóle... rzadko patrzę w niebo.

- Ja wychodzę czasem przed dom, gaszę światło i patrzę na niebo - powiedziała Annie. - Ale tylu gwiazd nie widziałam chyba nigdy.

- Ja tak robiłem jako dziecko. To jest, wymykałem się z domu, szedłem na plażę, kładłem się na piasku i patrzyłem w gwiazdy. Ale od bardzo dawna tego nie robię. A podobno z wiekiem stajemy się mądrzejsi...

- Sinclair - Annie wreszcie odważyła się zadać mu pytanie, z którym nosiła się od dawna. - Czego najbardziej pragniesz w życiu?

Zastanowił się i na moment przerwał wiosłowanie.

- Czego najbardziej pragnę? Żeby udało mi się na froncie, na którym nic mi się nie udaje. Nawet za cenę gorszych osiągnięć w życiu zawodowym.

- Mówisz o... własnej rodzinie?

- Tak. Ale też tak naprawdę nie wierzę, żeby mi się jeszcze miało udać. Klątwa czy nie, ze mną coś jest nie tak.

- A może to z tymi kobietami było coś nie tak? Może nie trafiłeś jeszcze na tę właściwą? Będę ci to powtarzać w nieskończoność...

Sinclair zamilkł. Nie umiał odpowiedzieć na to pytanie. Bał się w ogóle o tym myśleć.

- Dokąd właściwie płyniemy? - zapytała po chwili Annie. - Nie widać już nawet świateł naszej imprezy.

- Boisz się?

- No... może trochę - odpowiedziała nieco figlarnie Annie. - Kobieta wieziona gdzieś w nieznane po morzu ma chyba prawo się bać?

- Myślisz, że mógłbym zrobić ci krzywdę?

- Hm, zastanówmy się... Świadomie raczej nie...

- No dobrze, powiem ci: płyniemy na przystań mojego dobrego przyjaciela. Mam nawet u niego zacumowaną drugą żaglówkę, bo stąd bliżej na otwarte morze. Jesteśmy już bardzo blisko, jego dom jest za tamtą kępą drzew - dodał, pokazując na spowity w ciemnościach brzeg. - Jego tam niemal na pewno nie będzie, ale przystań jest cała dla nas.

Po chwili Sinclair cumował już łódkę do drabinki wiodącej na dwupoziomowe molo - brzeg morski był tu, podobnie jak w miejscu, gdzie urządzono party, dość spadzisty. Na brzegu, mimo ciemności, Annie rozpoznała kształty cofniętego nieco w głąb lądu domu z białej cegły urządzonego w stylu orientalnym: dach wieńczyła kopuła przypominająca trochę pałace kalifów.

- Czuję się, jakbym wylądowała w Tadź Mahal - powiedziała Annie.

Istotnie, ten typ architektury nieco w tym miejscu dziwił; nad wodą dominowała zabudowa drewniana, z wychodzącymi niemal na samo morze domami i przyklejonymi do nich hangarami na łodzie.

- Mój przyjaciel ma nieco ekscentryczny gust, ale to dobry człowiek - tłumaczył Sinclair. - Tak jak ja, jest pracoholikiem, ale raz na jakiś czas mówi sobie stop, przyjeź-

dza tu, odcina się od świata, wyłącza nawet komórkę i ładuje akumulatory przez tydzień, dwa.

Sinclair powiódł ją po deskach pomostu pod zadaszenie hangaru, gdzie zimą trzymano łodzie. Usiedli na ustawionej tam ławie z pluszowymi poduszkami.

- Zabrałem cię tutaj, żebyśmy mogli chwilę побыć sami ze sobą - wyjaśnił Sinclair.

- Co w moim domu na razie nie jest możliwe.

- Mówisz o Dog Harbor?

- Tak. Mieszkania na Manhattanie nie nazywam domem. To właściwie przybudówka do biura - powiedział Sinclair. Istotnie, mieszkanie miał urządzone w apartamentowcu na tyłach budynku, gdzie mieściło się jego biuro; droga do pracy zabierała mu niecałe dwie minuty.

- A jednak tak rzadko bywasz w swoim domu... - powiedziała Annie wpatrzona w toń morza.

- Tak, to prawda. Ale zamierzam to zmienić.

Annie zastanawiała się, co chce przez to powiedzieć i co taka zmiana może oznaczać dla niej. Czy będzie tam dla niej jeszcze miejsce, jeśli Sinclair zdecyduje się przenieść do Dog Harbor i w coraz większym stopniu pracować z domu? A jeśli nawet, to czy ona wytrzyma jego obecność po tym, co się między nimi wydarzyło? Postanowiła na wszelki wypadek zmienić temat.

- Jestem pod wielkim wrażeniem tego, jak dbasz o swoją mamę - powiedziała. - Nigdy wcześniej nie widziałam was razem na dłużej i dopiero teraz widzę, jak bardzo się o nią troszczysz. A mówią, że o tym, jaki naprawdę jest mężczyzna, można się najlepiej przekonać po jego stosunku do matki.

- Może nie jestem więc aż tak czarnym charakterem, jak mnie malują? - zapytał żartobliwie Sinclair.

- Wiem, że potrafisz być miły, a nawet opiekuńczy - powiedziała rozmarzona Annie ledwie dosłyszalnym szeptem.

- Zwłaszcza tu, w ciemnościach, gdzie być może będę musiał bronić cię przed złymi mocami - odpowiedział niby to żartem Sinclair, jednocześnie przysuwając się do niej bliżej i obejmując ją czule ramieniem. Położyła głowę na jego barku.

- W twoich ramionach nie boję się złych mocy - przyznała z absolutną szczerością.
- Jakież demon odważyłby się zadzierać z tak atletycznie zbudowanym dżentelmenem w eleganckim smokingu?

Sinclair pochylił się i delikatnie pocałował odsłonięty kark Annie. Głęboko wciągnął w nozdrza naturalny zapach Annie i długo się nim rozkoszował. Annie była pierwszą kobietą w jego życiu, która nie używała żadnych kosmetyków, perfum i nie malowała się. Ale dlaczego w sumie miałyby to robić? Natura przecież stworzyła ją idealnie piękną, a każda próba poprawienia ideału byłaby świętokradztwem.

Annie nie reagowała. Chciała, żeby ta chwila trwała wiecznie. Chciała pozostać tak wtulona w jego ciepłe, muskularne ramiona, czuć na szyi ciepły, przyspieszony oddech Sinclaira i nie myśleć o niczym, w tym o tym, że jutro rano, już za parę godzin, wróci on przecież do swego codziennego życia i pewnie znowu zapomni o Kopciuszku. A może... Może tym razem nie zapomni?

- A ty, Annie - zapytał Sinclair po chwili, gdy oderwał wreszcie usta od jej karku. - Czego ty najbardziej pragniesz w życiu?

Annie zastanowiła się, ale nic mądrego nie przychodziło jej na myśl. Obróciła więc głowę i patrząc mu głęboko w oczy, powiedziała:

- Rozpiąć ci krawat i koszulę i zobaczyć, co masz pod spodem.

Po czym z furją właściwą bachantkom przystąpiła do realizacji swego pragnienia. Już po chwili jej drżące w podnieceniu palce wędrowały po jego nagim, gęsto obrośniętym torsie, a jego dłonie mocowały się z niezliczoną liczbą guzików na plecach jej sukni. Ich usta zwały się ze sobą w drapieżnym, zgłodniałym uścisku, a rozbiegane czubki języków z furją uderzały o zęby i dziąsła. Sinclairowi udało się jakoś w tym szale rozpiąć suknię Annie do końca i oboje ściągali z siebie bieliznę i resztki ubrania, które na nich jeszcze zostało - rzucali je na deski pomostu, po czym zupełnie już nadzy położyli się obok siebie na poduszkach wyścielających ławę.

- Jesteś pewien, że nikt nas tu nie widzi? - spytała Annie w jakimś momencie wytchnienia, kiedy oboje przystopowali na chwilę w swych zmaganiach dla złapania oddechu.

- Całe mnóstwo oczu - odparł Sinclair zasapanym z wysiłku głosem.

- Jak to? - Przez moment zastanowiła się, czy aby Sinclair nie mówi poważnie.

- No... - odpowiedział. - Oczu. Ptasich oczu. Na każdym z tych drzew jest co najmniej po pięć albo sześć par oczu. Niektóre może śpią, a niektóre obserwują to, co robimy.

Zaśmiała się, ale jej śmiech stłumiły usta Sinclaira. Pocałował ją czule i namiętnie, tym razem jakby nie spiesząc się. Ale wówczas to Annie wspięła się na niego i przylgnęła piersiami do jego torsu, po czym zaczęła przesuwać się w dół i w górę, ocierając się stwardniałymi, naprężonymi aż do bólu sutkami o masywną klatkę piersiową Sinclaira. Jej ruchy doprowadziły Sinclaira do bolesnego wręcz podniecenia.

Zręcznym ruchem obrócił ją tak, że teraz to on znalazł się na górze - co, biorąc pod uwagę wąskość ławy, na której leżeli, nie było rzeczą łatwą.

Ujął w usta jeden z jej sutków i zaczął bawić się nim, drażniąc go koniuszkiem języka, a nawet delikatnie gryząc zębami. Annie umierała z rozkoszy i za wszelką cenę starała się powstrzymać orgazm, by poczekać na Sinclaira.

- Wejdz we mnie... - wyszeptała, patrząc w jego zawieszony nad nią drapieżny oczy. - Błagam!

Sinclair chciał początkowo przedłużyć jeszcze ich grę wstępną, ale słysząc tak zmysłowe zaproszenie Annie, postradał prawie zmysły. Jednym płynnym ruchem wszedł w jej gorące, wilgotne ciało, a następnie silnymi pchnięciami posuwał się coraz dalej w głąb, jak gdyby próbował przejść przez nią, przedostać się na jej drugą stronę, do jakiegoś innego, nieznanego mu świata. Przy każdym z przeszywających ją pchnięć Annie wydawało się, że za ułamek sekundy straci przytomność i cała jej wola skupiła się tylko na tym, żeby poczekać z wybuchem swej rozkoszy na Sinclaira, a jego coraz bardziej przyspieszający oddech dawał jej nadzieję, że stanie się to już za chwilę. Jego ruchy stały się tymczasem tak szybkie i głębokie, że Annie wydawało się, że jego twarde, wielki członek wypełnia teraz całe jej ciało i wwierca się w mózg. W końcu nie wytrzymała i poddała się bez reszty wstrząsającej ją fali. Czowała się jak ktoś wiszący nad przepaścią, kto nie wytrzymał i puścił się wreszcie krawędzi skalnej, na której zawisł. Spadała teraz, leciała w dół, wiedziała, że za chwilę uderzy o ziemię i niechybnie złamie sobie kark, ale... czuła się wspaniale.

Ich jednoczesny krzyk spłoszył ptaki nocujące w nadmorskich drzewach, których całe stado poderwało się z łopotem ciężkich od snu skrzydeł. Po chwili leżeli już ciasno obok siebie, z trudem łapiąc oddech. Łopot ptasich skrzydeł powoli uspokajał się i do uszu Annie doleciał teraz szum liści na poruszanych wiatrem gałęziach. A także bardzo głośne bicie dwóch serc.

- I co dalej? - wyrwało jej się mimowolnie z ust, ale skoro już się wyrwało, to postanowiła dokończyć myśl. - Mamy się z tym ukrywać?

- Jedynie, jeśli będziesz tego chciała - odpowiedział, ledwie łapiąc oddech Sinclair.

To znaczy, że jutro przy śniadaniu Sinclair przedstawi ją jako swoją narzeczoną mamie i Vicki? Nie, to byłoby zbyt piękne, pomyślała Annie. To się po prostu nie zdarzy.

Obróciła się na bok i mając teraz przed ustami ucho Sinclaira szepnęła w nie:

- Cokolwiek się zdarzy, nie będę żałować tego, co się tutaj stało.

- Ja też nie - odpowiedział również szeptem Sinclair.

- Wiedziałaś, że kocham się w tobie? Od sześciu lat - spytała.

- No... muszę przyznać, że nie.

- Nie zauważałaś mnie?

- Byłem głupi. Głupi i ślepy.

- Nie mów tak. Tak miało być. Któregoś dnia na strychu w twoim domu wszystko się miało zmienić.

- Mówisz trochę jak moja matka. Ona sądzi, że wszystkim rządzi los.

- A nie jest tak? - zapytała Annie. Pytanie to zresztą równie dobrze skierowane było do niej samej. Przecież to jasne jak słońce, że to nie ona kontroluje obecnie bieg swojego życia. Gdyby na przykład miesiąc temu ktoś jej powiedział, że będzie uprawiać ze swoim chlebodawcą dziki seks na czyjejś prywatnej przystani, do której cichcem wpłyną nocą, uśmiełaby się serdecznie.

- Nie wiem - odpowiedział Sinclair.

- Jak nie los, to co nami rządzi?

- Nie wiem. Kiedyś myślałem, że pieniądze. Dziś wiem, że tak nie jest, a w każdym razie jest mnóstwo rzeczy i miejsc, nad którymi pieniądź nie ma władzy.

- Powiedz mi, Sinclair: dobrze ci jest ze mną?
- Dobrze. Bardzo dobrze.
- Mnie też. Zastanawiam się, dlaczego tak nam ze sobą dobrze.
- Jak to, dlaczego? Los tak chciał - powiedział Sinclair, uśmiechając się.

Annie nie do końca to chciała usłyszeć, ale pomyślała, że i za tę odpowiedź dałaby mu co najmniej czwórkę.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Do domu weszli po cichu, kiedy na dworze już miało się rozwidniać. Sinclair chciał zaciągnąć Annie do swojej sypialni, ale powiedziała mu szeptem do ucha, że lepiej będzie poczekać do kolejnej nocy i zacząć spać ze sobą oficjalnie, ogłosiwszy wcześniej przed panią Drummond i Vicki, że Sinclair i Annie są parą. Zgodził się na to, nie chcąc wywracać wszystkiego do góry nogami w domu - ostatnia rzecz, jakiej potrzebował, to nagłe pogorszenie się stanu zdrowia swojej matki. Pocałowali się zatem czule na korytarzu na piętrze i każde grzecznie poszło do swojej sypialni.

Na swojej poduszce Annie znalazła ozdobną kopertę, a w środku kartkę z odręcznie napisanym charakterystycznym pismem pani Drummond poleceniem: „Nawet mi się nie waży wstawać przed południem!”.

Z tysiącem myśli, pełna tak nadziei, jak i obaw, Annie wsunęła się pod kołdrę, przekonana, że w tym stanie ducha nie uśnie nawet na minutę. Myliła się jednak: zmęczone ciało wzięło górę nad rozbieganym umysłem i niemal natychmiast pociągnęło ją w otchłań snu.

Omali nie zastosowała się do polecenia pani Drummond: nastawiła wprawdzie w ostatnim odruchu budzik na siódmą, ale skołowana nadmiarem wrażeń zapomniała przełączyć go na stan aktywny. Obudziła się zatem dobrze po jedenastej.

Bolała ją głowa, wypila w końcu sporo szampana, a wiedziała, że niewiele jej trzeba, żeby, jeśli się nie upić, to przynajmniej następnego dnia cierpieć. Mimo bólu głowy, czy raczej nie najlepszego samopoczucia, próbowała odtworzyć przebieg wydarzeń ostatniego wieczoru i nocy.

Wzięła prysznic, ubrała się w szorty i pierwszy z brzegu T-shirt i z duszą na ramieniu zeszła po schodach do kuchni, zastanawiając się, co pani Drummond i Vicki jadły na śniadanie pod jej nieobecność. Sinclair pewnie sam zrobił sobie jak zwykle tost. No nic, zajmie się teraz przygotowaniem lunchu, schowa się w swoim kuchennym królestwie, może uniknie w ten sposób otwartej konfrontacji z obiema paniami i pytań o przebieg balu. Czy Sinclair rzeczywiście powie im, że są parą? Ale czy... rzeczywiście są?

Samotność w kuchni nie była jej dana na długo, bo tuż po niej weszła Vicki z jakimś kolorowym magazynem w ręku.

- Ty już z powrotem w szortach? - powiedziała, jak gdyby oczekiwała, że Annie zostanie w znalezionej na strychu sukni na zawsze. - Ciekawe, co by na to powiedzieli redaktorzy „Women's Wear Daily”? Zapewne bardzo by się zdziwili...

- A co oni mają do tego, jak ja się ubieram? - zapytała Annie głosem na tyle spokojnym, na ile to było możliwe.

- Coś tam pewnie mają. Popatrz na to - odpowiedziała Vicki, rozkładając na kuchennym stole gazetę na stronie, na której widniało... zdjęcie Annie tańczącej w ramionach Sinclaira. Nad zdjęciem widniał tytuł: „Tajemnicza kobieta w tajemniczej sukni”.

- Nie mogę uwierzyć... - wyszeptała Annie, do której dopiero zaczynało docierać, że stała się z Sinclairem sensacją medialną dnia.

- Mówi o was całe miasto. I wiem na przykład, że oboje zniknęliście gdzieś przed uroczystą kolacją z ostrygami. Nikt was potem nie widział.

- Kolacją? - dziwiła się Annie. No tak, Sinclair coś mówił o ostrygach, ale potem...

- Nie przejmuj się - pocieszała ją Vicki. - To profesjonalne pismo, zatem bardziej niż wasze zniknięcie zainteresowała ich twoja suknia. Zastanawiają się, kto ją uszył.

- Ktokolwiek ją uszył, już od dawna nie żyje - odpowiedziała Annie, która zdążyła co nieco ochłonąć. Było jej nawet miło, że jej zdjęcie znalazło się w gazecie i to w tej pięknej sukni. Bała się jednak, że inaczej odbierze je Sinclair; kto wie, czy to nie zaszkodzi jego reputacji? Wiedziała, że w przeciwieństwie do większości gwiazd Wall Street, Sinclair panicznie unikał mediów i rozgłosu.

- Ale oni tego nie wiedzą. Spekulują, że to któryś z uczniów samego Balenciagi. Ale jazda!

- A gdzie jest Sinclair? - spytała Annie z pewną nutą nieśmiałości.

- Jest czymś strasznie zajęty, siedzi u siebie w gabinecie. Rano cały czas gadał przez telefon, chyba go jednak i tu dopadły jakieś sprawy służbowe. Nie wiem zresztą. Ale wygląda świetnie, jak gdyby... zrelaksował się wczoraj całkowicie.

Annie poczuła, że musi w tym momencie coś powiedzieć, bo milczenie będzie tylko potwierdzeniem podejrzeń Vicki. Podejrzeń skądinąd całkiem słuszych.

- To był naprawdę wspaniały wieczór! - powiedziała.

- W to nie wątpię - odpowiedziała Vicki głosem nie do końca wolnym od sarkazmu. - Dokładnie tak, jak zaplanowałam.

- A więc udawałaś migrenę? Vicki zaśmiała się.

- Kochana, to miał być twój wielki dzień i tak też się stało. A to jeszcze nie koniec. Zobaczysz, napiszą o was w „Page Six”, a pewnie i gdzie indziej.

No tak, tego tylko było im trzeba. Jak jeszcze odkryją, że tajemnicza kobieta w tajemniczej sukni to jego gosposia...

- Sinclair nie będzie tym zachwycony - powiedziała cichym głosem Annie.

- Już ty się, dziewczyno, o to nie martw - odpowiedziała Vicki. - Zrobimy z was jeszcze parę celebrytów! A na początek spróbuję wyciągnąć gdzieś dziś wieczór panią Drummond, żebyście mieli dom dla siebie. Zatem, do dzieła, Annie! - dodała i z pominięciem gazety, wyszła energicznym krokiem z kuchni, pędząc w jakimś sobie tylko znanym kierunku.

Po jakimś czasie na schodach rozległ się ciężki tupot nóg, a ponieważ i Vicki, i pani Drummond były raczej chucherkami, mógł to być jedynie Sinclair. Annie zamarła. Przeczynała, że stało się coś złego. Ostatnia noc była po prostu zbyt piękna i taki stan nie mógł się długo utrzymać.

Mina Sinclaira, jak tylko stanął w drzwiach kuchni, upewniła ją, że przecucia jej nie myliły.

- Annie... - powiedział tylko to jedno słowo, patrząc na nią bardzo rozbieganym wzrokiem.

Wyglądał jak człowiek, któremu lekarze powiedzieli, że ma nieuleczalnego raka i dwa miesiące życia.

- Słuchaj, nie wiem po prostu, jak ci to powiedzieć...

Nie, pomyślała, nie będzie przez to przechodzić drugi raz, tylko nie to!

- Co takiego, Sin? Ja spędziłam wczoraj wspaniały wieczór, myślałam, że ty też.

- Tak, ale...

Odwrócił się i zamknął za sobą drzwi kuchni. Podszedł bliżej do Annie, ale nie tak, jak podchodzi ktoś, kto chce cię objąć, przytulić. Stał dwa, trzy kroki przed nią.

- Annie, widzisz...

- Nie, nie mów mi znowu, że wczoraj straciłeś kontrolę nad sobą i nie wiesz, co cię napadło. Drugi raz tego nie zniosę!

- Absolutnie nie to chcę powiedzieć. Ostatnia noc była cudowna...

- To dlaczego wyglądasz, jakbyś miał umierać?

- Bo widzisz... coś się stało.

- Z twoją matką? Jezu!

- Nie. Dzwoniła moja była żona, Diana.

Annie zamilkła. Z tego, co wiedziała, Diana i Sinclair nie mieli kontaktu od wielu miesięcy. Nie widzieli się od bardzo burzliwej - mimo że ich małżeństwo trwało stosunkowo krótko - sprawy rozwodowej, pełnej jadu i oskarżeń. Mówiąc prawdę, Annie nie sądziła, by się do siebie mieli jeszcze kiedykolwiek odezwać.

- Jest chora? - spytała Annie.

- Nie - odpowiedział Sinclair. - Jest w ciąży.

- O rany... - powiedziała Annie, czując nagły skurcz mięśni w dole brzucha, który odczuwała zawsze w momentach silnego stresu. - I... to twoje dziecko? - spytała, po czym sama się za to pytanie skarciła. Jasne, że jego. W przeciwnym razie nie byłoby całej sprawy. Ale coś jej tu wyglądało nie tak.

- Przecież mówiłeś, że pod koniec waszego małżeństwa spotykała się z innym mężczyzną, Sama przyznała się do tego. Więc... jeśli to jego dziecko?

- Powiedziała mi teraz, że wymyśliła tę historię, żeby dostać rozwód.

- I... chce się z tobą zejść? - Te słowa ledwie przeszły Annie przez gardło.

- Nie, ale ma za kilka dni termin porodu. Jeśli to moje dziecko, to powinienem tam teraz być.

No tak, pomyślała Annie. Zatem znowu jesteśmy w punkcie wyjścia.

- Czegoś tu nie rozumiem - powiedziała po chwili Annie nieco spokojniej. - Dlaczego mówi ci o tym dopiero teraz, tuż przed porodem?

- Twierdzi, że początkowo w ogóle nie chciała mi mówić i miała zamiar wychowywać dziecko samotnie. Ale teraz załamała się...

- No i... co zamierzasz zrobić?

- Nie wiem. Ale wiem, że nie chcę, żeby moje dziecko wychowywało się w rozbitym domu.

- Miliony dzieci tak dziś dorastają.

- Nie, to nie w moim stylu.

Rzeczywiście, nie potrafiła wyobrazić sobie Sinclaira w roli tatusia, który raz czy dwa razy w miesiącu zabiera dziecko na pizzę bądź do kina.

- Zatem wrócisz do niej? Jeśli ci tylko pozwoli?

- Nie wiem. Nic już nie wiem. Annie... to mnie po prostu przerasta. Ale wiem, że muszę tam jechać, jak najszybciej, jeszcze dziś, i być przy narodzinach mojego dziecka.

- Jeśli rzeczywiście jest twoje.

- Tego na razie nie wiemy. Zakładam, że Diana mówi prawdę i dziecko jest moje.

- W czasie rozwodu też mówiła prawdę?

- W czasie rozwodu mówi się różne rzeczy.

To koniec, pomyślała Annie, straciłam go po raz drugi. Tym razem może ich rozstanie, czy jak to w ogóle nazwać, jest odrobinę mniej bolesne, bo wywołane czynnikiem, na który ani on, ani ona nie mieli teraz wpływu. Po prostu... los tak chciał, jak by to powiedziała pani Drummond.

- Annie, przepraszam cię, naprawdę, nie planowałem tego - zapewniał Sinclair, po czym jego wzrok padł na otwartą stronę gazety, którą przyniosła Vicki. - Co to takiego? - spytał.

- Nasze zdjęcie, z balu.

- Co?!

- Vicki to przyniosła. Jacyś paparazzi zrobili nam zdjęcie i wydrukowali to.

- Nie widziałem, żeby ktoś tam w ogóle robił zdjęcia...

- Ja też nie.

- A co to za pismo?

- Gazeta modowa. Plotki o strojach i takie tam.

- Taaak. No cóż, żeby to się tylko nie przedostało do poważnych pism.

Czyli jednak wstydzi się tego, że pokazał się na balu z gosposią, głupią gęsią, która nawet nie ma matury. Zabolało.

- Pójdę się już pakować. Nie szykuj mi lunchu, zjem coś na lotnisku. Tak mi przykro, Annie...

No tak, więc wrócili już do starego układu pana i służącej. Z romantycznej nocy nie zostało nic. I nawet trudno o to kogokolwiek winić! Los tak chciał...

- Mnie też przykro, Sin - powiedziała Annie cicho, ale Sinclair był już na schodach i na pewno tego nie słyszał.

TLR

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Na lotnisku w Santa Barbara Sinclair wsiadł do wypożyczonego samochodu i udał się w stronę domu swojej byłej żony, który jeszcze rok temu był jego domem. Im bliżej niego się jednak znajdował, tym większe zaczynały go ogarniać wątpliwości. Przypominał sobie twarz Diany, której idealna cera była nie tyle darem natury, ile efektem pracy całej armii chirurgów i nieustannego przesiadywania w solarium. Przerażona perspektywą zmarszczek Diana nakładała na noc grubą warstwę kremu na twarz i szyję - nie wyglądało to zbyt apetycznie. Z kolei jej lśniące czarne włosy nie były tak naprawdę jej, a zlepkiem licznych przeszczepów, którym poddawała się z zatrwającą regularnością co mniej więcej trzy miesiące. Na myśl, że miałby jeszcze kiedykolwiek pocałować jej napompowane silikonem wargi, przeszły go ciarki.

I w tym momencie przypomniał sobie naturalne piękno ciała Annie. Jej bladą skórę z siateczką delikatnych piegów na nosie i policzkach. Włosy, które na pierwszy rzut oka wydawały się kasztanowe i dopiero po dłuższej obserwacji można było dostrzec, że tak naprawdę są znacznie jaśniejsze, płowozłote. Jej piękne ciało, może nieprzesadnie wychudzone - co, zdaje się, uchodzi obecnie za niedościgniony wzór wśród nastolatków - ale pełne delikatnych krągłości, które tak uwielbiał gładzić palcami...

Na wspomnienie Annie szarpnął nim ból. Sinclair zrozumiał, że zrobił błąd. Owszem, działał pod wpływem nagłego impulsu, reagując na nieoczekiwane wieści od Diany, ale, chcąc nie chcąc, ponownie bardzo skrzywdził Annie.

W pierwszym odruchu pomyślał, że tak musi być. Gdzieś tam w Kalifornii za chwilę urodzi się jego dziecko i to musi być dla niego w tym momencie najważniejsze. Choć mógł jej to powiedzieć w mniej okrutny sposób, zapewnić, że ponowne zejście się z Dianą nie wchodzi w grę. No cóż, może rzeczywiście wisi nad nim klątwa?

Podjechał pod dom, który wraz z Dianą wybrali sobie do życia. Dokładniej, to ona wybrała - Sinclair nie przepadał za zbyt pretensjonalnym śródziemnomorskim stylem tej posiadłości, rozrzuconej na przesadnie dużej w stosunku do liczby zabudowań powierzchni, nie lubił także nadmiernej ornamentyki samej willi. W ciągu tych paru mie-

sięcy, kiedy mieszkali razem, próbował tu być szczęśliwy, ale polubić tego miejsca nie zdołał, zatem przy rozwodzie zostawił je Dianie wręcz z ulgą.

Poczuł się bardzo nieswojo, gdy przyciskał guzik dzwonka przy drzwiach swego dawnego domu. Nikt nie odpowiedział. Nacisnął jeszcze raz. Cisza. Ale na podjeździe stały zaparkowane trzy samochody, zatem ktoś w domu zapewne był. W końcu usłyszał czyjeś kroki zbliżające się powoli do drzwi.

- Sinclair... Ty tutaj? - Z tonu głosu i wyrazu twarzy swej byłej żony zrozumiał natychmiast, że nie był tu mile widzianym gościem i o jakimkolwiek ratowaniu ich związku nie ma mowy.

- Musiałem przyjechać. Chciałem cię zobaczyć.

- Przecież powiedziałam ci, żebyś nie przyjeżdżał.

Pulchne ciało Diany wypełniało niemal cały otwór drzwi. Jej wielki brzuch skrywał się pod suknią czy raczej togą ze srebrnoszarego jedwabiu, nic natomiast nie zdołało skryć obrzmiałej, rozlanej twarzy. Przypominała teraz bardziej monstrum z jakiegoś horroru niż piękną kobietę.

Nie wolno ci tak myśleć, skarcił się w duchu Sinclair. To może być matka twojego dziecka!

- Jak miałem nie przyjechać, Diano? Przecież mamy dziecko.

- Nie, nie mamy - powiedziała, jakby odruchowo oglądając się za siebie. Sinclairowi wydało się, że dostrzegł jakiś ruch w kuchni. - Ja mam dziecko, Sin. Jesteśmy rozwiedzeni, gdybyś przypadkiem zapomniał. Ale skoro już tu jesteś, wejdź.

Jej głos miał zupełnie matowy ton, niezostawiający nadziei na jakąkolwiek ciepłą relację: więź, zażyłość czy choćby tylko znajomość. Mimo to Sinclair czuł, że musi wyraźnie przedstawić swoje stanowisko:

- Jeżeli to dziecko jest moje... - powiedział i zawiesił na moment głos, jak gdyby oczekując ze strony Diany żarliwego potwierdzenia tego faktu, ale nic takiego nie nastąpiło. - Jeśli to moje dziecko, to chciałbym odgrywać aktywną i pełną rolę w jego wychowaniu. W związku z tym będziemy musieli pozostawać w stosunkach pozwalających przynajmniej na porozumienie się w kwestii jakiejś współpracy przy zajmowaniu się nim.

- Co się dzieje, kochanie? - z kuchni doleciał szorstki, męski głos. - Przyszedł ktoś do nas?

Diana przełknęła głośno ślinę.

- Kto to taki? - spytał Sinclair. Przecież jeszcze dzień wcześniej Diana zapewniała go, że nikogo w jej życiu nie ma. A może coś źle zrozumiał...

- To Larry - wyjaśniła, po czym dodała głośniejszym głosem, obracając się za siebie: - Larry, to Sinclair. Chodź, przywitaj się z nim.

W korytarzu stanęło wielkie, otyłe chłopisko. Sądząc po twarzy i nadal żywych, pełnych blasku oczach, miał nie więcej niż dwadzieścia dwa lata, ale otyłość znacznie go postarzała. Stanął i przez krótką chwilę patrzył niemo na Sinclaira. Potem odwrócił się i bez słowa odszedł w głąb domu.

- Będziemy rozmawiać tutaj? - zapytał Sinclair Dianę.

- Nie, chodź. - Wskazała wejście do salonu. - Ale nie będziemy rozmawiać długo, bo nie ma o czym.

- Myślę, że jest - zaproponował Sinclair. - Mamy przecież razem dziecko. Dlaczego nie ujawniłaś tego w czasie rozwodu?

- Nie chciałam, żebyś miał poczucie, że jakaś część mnie należy w pewien sposób do ciebie. I że w związku z tym masz jakieś prawa co do mojej przyszłości.

- Zatem... dlaczego wczoraj mnie o tym zawiadomiłaś?

Diana pokazała na swój wielki brzuch.

- Moja praca polega na pokazywaniu się w towarzystwie, na imprezach, wernisazach i wszelakich spotkaniach z ludźmi. Obecnie nie jestem w stanie tego robić; nie sądziłam, że ciąża może aż tak ograniczyć moje życie...

A myślałaś, że to jak wyjść po bułki do sklepu na rogu ulicy? - chciał zapytać Sinclair, ale tego nie zrobił. Powiedział natomiast:

- Czyli... chodzi ci tylko o pieniądze? Chcesz mieć dziecko dla siebie, a ode mnie czek raz na miesiąc i to wszystko?

- No, z grubsza tak bym to widziała, Sin. Nie pasujemy do siebie i mówiąc szczerze, nie chciałabym cię za dużo widywać w moim życiu. Ale jak się uprzesz, to oczywi-

ście pozwolę ci widywać dziecko, tylko spróbuj to zorganizować tak, żebyśmy za dużo nie musieli ze sobą przebywać.

- Okej, rozumiem - odpowiedział. Coś mu jednak śmierzdziało w całej tej historii. - Zrobiłaś test DNA?

- Tak. Mówiłam ci przecież przez telefon.

- A mógłbym zobaczyć wyniki?

- Nie uwierzysz pewnie, ale gdzieś mi się w tym całym bałaganie zapodziały - powiedziała, wznosząc ramionami, co wywołało wstrząs, który jak fala rozlał się po całym jej tęgim ciele.

- Zatem chcesz, żebym uwierzył ci na słowo, że dziecko jest moje?

Diana zachnęła się, ponownie wstrząsając swym korpulentnym jestestwem.

- Sin, czy naprawdę zależy ci na kolejnym procesie, tym razem o ojcostwo? Bo wbijać kolejnej igły w brzuch na moment przed porodem mi się nie uśmiecha.

- Nie musisz. Zrobimy badania już po urodzeniu dziecka. Poczekam.

- Sin, o co ci chodzi? Mija dziewięć miesięcy od poczęcia tego dziecka. Dziewięć miesięcy temu byliśmy małżeństwem, więc dziecko jest twoje.

- Pod warunkiem, że mnie nie zdradzałaś. A sama przed sądem przyznałaś, że zdradzałaś.

- Powiedziałam tak, żeby dostać rozwód. Jak dobrze wiesz, w stanie Nowy Jork nie daje się rozwodu bez orzeczenia winy którejś ze stron. A ja bardzo chciałam się rozwieść i zdecydowałam, że to ja będę tą czarną owcą, byleby tylko dali mi ten papier. Zaszłam w ciążę, kiedy byłam jeszcze twoją żoną i to jest twoje dziecko, Sin.

- Brzmi to wszystko nawet sensownie, Diano, ale pozwól, że jednak poczekam na wyniki testu DNA - powiedział Sinclair, po czym bez pożegnania skierował się ku wyjściu.

- Annie! - zawołała na jej widok babcia.

Annie rzuciła jej się na szyję.

- Babciu, jak ja cię kocham! Przepraszam, że cię budzę.

- Nie spałam już. Wiesz, że wstaję z kurami. Nie było cię tu tak długo!

- Byłam przecież na święta - odpowiedziała Annie, ale sama zdała sobie sprawę, że nie zabrzmiało to przekonująco.

- Co cię do nas sprowadza?

- Babciu, jak by ci to powiedzieć...

- Masz kłopoty?

- Tak.

- Wylali cię z roboty?

- Tak. To znaczy... sama się zwolniłam.

- Co? Wymówiłaś pracę w tym rajskim miejscu na Long Island?

- Tak, babciu.

Starsza kobieta zamyśliła się i pokiwała smutno głową.

- No tak, w rajku też podobno czasem jest za gorąco... Ale co takiego się stało?

- Babciu, naprawdę nie mam siły, żeby o tym opowiadać. Teraz przynajmniej, kiedy to takie świeże...

- Coś mi się widzi, że jest w tym także wątek złamanego serca?

- No cóż... Tak, jest.

Babcia Annie spojrzała na nią ze współczuciem.

- W tych sprawach już tak jest, że wcześniej czy później coś zaczyna się psuć. Nie licząc udaje się przez to przejść bez bólu. Mówiąc między nami, to nie znam nikogo, komu by się udało. No może ciotka Heather, ale nawet o niej były jakieś plotki, już po śmierci jej męża...

- Babciu - przerwała jej Annie.

- Tak, kochanie?

- Zatrzymam się tu u was na trochę. Znajdę nową pracę i jakoś się odbiję. Mam trochę oszczędności.

- Oczywiście. To cały czas jest także twój dom. Trochę w nim ciasno, ale pomieścimy się. Chociaż na szukanie pracy czas jest ponoć fatalny.

Annie przytuliła się do babci, a po jej twarzy spłynęła łza. Dobrze mieć rodzinę, pomyślała. Choćby biedną.

Dawna sypialnia Annie zawalona była teraz starymi gratami, które nie bardzo było gdzie poupychać. Annie z trudem zdołała odgruzować łóżko i znaleźć miejsce, żeby wstawić swoje dwie torby podróżne - niewielki bagaż, jak na dorobek sześciu lat życia.

Przez noc, dwie będą się musiała jakoś przemęczyć, tłumaczyła sobie, patrząc na zalegające dookoła niej graty. Potem z ojcem i siostrą gdzieś to wszystko poupychają i z każdym dniem będzie lepiej. A w końcu może uda jej się znaleźć jakąś pracę, stanąć na nogi i wynająć coś dla siebie. Nigdy już nie będzie tak jak na Dog Harbor, ale... jakoś tam będzie.

- Czy ja dobrze rozumiem, że odwiedziła nas najlepsza na wschodnim wybrzeżu specjalistka od omletów? - rozległ się dolatujący z korytarza głos ojca Annie.

Uśmiechnęła się. No tak, pracy będzie tu dla niej na pewno więcej niż na Long Island. Gorzej z płacą.

- Już idę, tato! - odkrzyknęła.

Przywitała się serdecznie z ojcem, po czym weszła do kuchni i przyrządziła śniadanie dla wszystkich. Był sobotni ranek i cała rodzina w domu. Z wyjątkiem matki Annie, która pracowała na nocną zmianę w szpitalu i jeszcze nie wróciła. Była natomiast Sheena, która wiedziała o Sinclairze z mejli od Annie i wbrew jej prośbom nie miała obecnie zamiaru ukrywać tej wiedzy przed rodziną:

- Przestań o nim wreszcie myśleć i znajdź sobie nowego, normalnego faceta! - powiedziała.

Annie zerknęła odruchowo na ojca, ale ten, po zaspokojeniu pierwszego głodu pogrzyżył się całkowicie w lekturze kolumny sportowej lokalnej gazety. Babcia z kolei wyszła przed chwilą z salonu w swoich sprawach.

- Wierz mi - powiedziała Annie do siostry - bardzo bym chciała zapomnieć. Ale to jest silniejsze ode mnie. Czuję się, jakbym miała czternaście lat i pierwszy raz się zakochała.

- Ja mam przypadkiem czternaście lat, ale, daję słowo, tak głupio się zakochać to bym chyba nie potrafiła.

- Łatwo ci mówić...

- Może on po prostu nie potrafi kochać? - zapytała Sheena, dojadając ostatni kawałek omleta.

- Może - odpowiedziała Annie. - Był dwukrotnie żonaty, ale te małżeństwa nie trwały długo. Wiem, że bardzo chciałby mieć rodzinę, dzieci, ale... może rzeczywiście nie potrafi.

Sheena skończyła jeść i z zamyślonym wzrokiem oparła się o parapet okna. Po dłuższej chwili milczenia spytała:

- Powiedz mi, jak on wygląda?

- Jakże to ma znaczenie? - Wzruszyła ramionami Annie.

- Wysoki, przystojny brunet?

- Tak. Jest... naprawdę piękny.

- Szeroki w ramionach, wąski w pasie? Ubrany jakby się wybierał na mecz golfa?

- No... tak. Skąd wiesz?

- Bo tak wygląda gość, który stoi przed domem i o coś wypytuje właśnie babcię.

Obok stoi jego niezłe wypasiona bryka, bmw, jeśli mnie oko nie myli.

- Co?!

- No, niezłe ciacho. I jeszcze do tego bajecznie bogaty. Ty to masz szczęście, stara!

- O czym ty mówisz? - spytała Annie i z duszą na ramieniu podeszła do okna. Serce w niej zamarło, bo przed domem, obok jej babci, stał Sinclair.

Na miękkich nogach podeszła do drzwi wejściowych. Otworzyła je i stanęła twarzą w twarz ze swoim niedawnym pracodawcą. Był ubrany w białą, rozpiętą pod szyją koszulę, szarawe spodnie i czarne mokasyny. Wyglądał naprawdę przebojowo. Minę natomiast miał bardzo nieszczęśliwą.

- Annie... - powiedział na jej widok. - Jak się cieszę, że cię odnalazłem. Przyjechałem cię przeprosić. Zrobiłem straszny błąd. Wybaczysz mi?

Babcia dyskretnie weszła z powrotem do domu, delikatnie zamykając za sobą drzwi.

- Widzisz, ja...

- Przyjechałeś z Dog Harbor? - spytała Annie.

- Nie, z Kalifornii. Jadę prosto z lotniska.

- Skąd wzięłeś mój adres?

- Kazałem Vicki pogrzebać w papierach. W twoim podaniu o pracę, sprzed sześciu lat, był ten adres.

- No tak...

Annie zamyśliła się. Najwyraźniej Sinclair rzeczywiście zrozumiał swój błąd. Ale przecież nie może być dla niego zabawką z półki, do której zawsze można wrócić, a potem ją z powrotem odłożyć na swoje miejsce.

- Dziecko okazało się nie twoje?

- Tak. Ale ja już wcześniej zrozumiałem, naprawdę. Już jak tam leciałem...

- Co rozumiałeś?

- Że... że ty i ja jesteśmy sobie pisani. Jesteśmy, Annie, stworzeni dla siebie i nic tego nie zmieni, żadne okoliczności zewnętrzne.

- Za późno, Sin. Zaczęłam budować swoje życie od nowa. Nie wrócę już do tego, co było. Nie będę twoją gosposią.

- Ależ ja wcale nie chcę, żebyś była moją gosposią! Chcę cię w swoim życiu w zupełnie innej roli...

- Sin, cały czas, nawet tej ostatniej nocy na balu i potem, na przystani, traktowałeś mnie jak służącą...

- Co ty mówisz? To nieprawda!

- Nigdy nie zmieniłeś w swoim sercu czy mózgu etykiety „Annie Sullivan, pomoc domowa” na coś innego. Dlatego tak łatwo było ci z moich usług zrezygnować, kiedy sytuacja się skomplikowała. Gosposia nie była chwilowo potrzebna, więc można było ją odstawić i wrócić do byłej żony. Ta jednak też, jak się okazało, nie pasuje do idealnego obrazka, jaki sobie namalowałeś, więc czym prędzej wracasz do gosposi. Tak się nie da, Sinclair, przynajmniej nie ze mną.

Sinclair oparł się ręką o framugę drzwi i westchnął ciężko. Po jego policzku spłynęła łza, która po chwili spadła na drewniany podest ganku.

Potem druga, trzecia. Annie uświadomiła sobie, że nigdy dotąd nie widziała, by Sinclair płakał. Było to tak sprzeczne z jego obrazem, jaki sobie przez te lata wytworzy-

ła, że po prostu oniemiała. Odruchowo chciała go jakoś pocieszyć, ale naprawdę nie wiedziała, co powiedzieć.

- Nie mam nic na swoją obronę, Annie - wyszeptał po chwili Sinclair. - Na klątwę jest może i sposób: trzeba złożyć w całość kielich. Ale na głupotę nie ma nigdzie lekarstwa.

Annie milczała. Takiego Sinclaira jeszcze nie widziała. Nie płakał, to znaczy, nie szlochał, próbował trzymać się po męsku, ale łzy same ciekły mu po policzkach. Poczła nagle, że... chciałyby się do niego przytulić, mimo wszystko, mimo całego bólu, jaki jej zadał.

- A może... nie znajdzie się tu żadna okoliczność łagodząca? - spytała, próbując dodać mu trochę otuchy.

- Co? - zapytał, jakby nie dosłyszał. Albo nie zrozumiał.

- Coś, co stawiałoby ciebie w lepszym świetle...

- Aha - powiedział, najwyraźniej dopiero teraz rozumiejąc to, co powiedziała do niego Annie. - W lepszym świetle, mówisz? Poczekaj - rzucił i podszedł do swojego bmw wyróżniającego się na tle zaparkowanych obok dwóch rdzewiejących minivanów. Otworzył drzwi samochodu, wyjął coś leżącego na siedzeniu i wrócił z tym do Annie.

- Czy... zechcesz zostać moją żoną? - zapytał, podając jej otwarte pudełeczko.

Annie opuściła oczy. W pudełeczku, na poduszecze z purpurowego atlasu, tkwił złoty pierścionek z brylantem w misternej oprawie, w którym jaskrawo odbijały się promienie słoneczne, mimo że słońce tego ranka ledwie prześwitywało zza chmur. Zauroczona widokiem brylantu Annie dopiero po chwili zrozumiała sens słów Sinclaira.

Cholera, powiedziała do siebie w myślach, cały mój plan wziął w łeb!

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Łzy obeschły już na twarzy Sinclaira, natomiast teraz płakała Annie, wtulona w jego mocarne ramię. Pochlipywała, patrząc na tkwiący na jej palcu pierścionek. W końcu podniosła oczy.

- To wasz rodowy klejnot? - spytała.

- Tak. Skąd wiesz? - odpowiedział zdziwiony Sinclair.

- Dziś już takich nie robią - wyjaśniła Annie. - Nie to, żebym się specjalnie znała. Ale to i owo wiem o biżuterii. Nie mów, że znaleźliście go na strychu?

- Nie. Cały czas był noszony w rodzinie. Być może i jest przeklęty, jak całe dziedzictwo Drummondów, ale wspólnie zdołamy przełamać to fatum, zobaczysz!

- Przeklęty... - powtórzyła za nim Annie. - Czy coś tak pięknego może być jednocześnie przeklęte?

Ale skoro tak, to... czy wiadomo, jak zmarła ostatnia jego użytkowniczka? Sinclair uśmiechnął się.

- Ostatnia jeszcze nie zmarła - odpowiedział z tajemniczą miną.

- Jak to? - zapytała Annie.

- To pierścionek zaręczynowy, który mój ojciec dał mojej matce, a ona teraz przekazała go mnie z prośbą, żebym dał tobie.

- Niemożliwe! - krzyknęła niemal Annie. - Pani Drummond zgodziła się na to, żebyś... Chcesz powiedzieć, że nie ma nic przeciwko temu, żebyśmy...

- Pani Drummond pragnie, żebyś również została panią Drummond, Annie.

Annie aż zakręciło się w głowie i musiała mocniej przytulić się do Sinclaira, żeby nie upaść.

- Ale... kiedy ona zdążyła ci to dać? Przecież nie byłeś nawet w domu, lecisz prosto z Kalifornii... - zapytała.

- Przesłała kurierem na lotnisko - wyjaśnił Sinclair. - Chcę podkreślić, że zrobiła to z własnej inicjatywy. Ja tylko powiedziałem jej, że zamierzam cię prosić o rękę i w razie jej oporów byłem gotowy pójść na noże. Ale oporów nie było, powiedziała od razu, że to najlepsza decyzja w moim życiu.

- Nie mogę wprost uwierzyć... - mamrotała jak w zamroczeniu Annie.

W tym momencie rozległo się ciche pukanie do drzwi. Annie wydawało się, że się przesłyszała i spojrzała pytająco na Sinclaira. Ale on też najwyraźniej to słyszał. Po chwili pukanie rozległa się ponownie. Pukał ktoś od środka.

- Proszę... - odpowiedziała szczerze zaskoczona Annie.

Drzwi powolutku otworzyły się i w ich szparze ukazała się głowa Sheeny.

- Czy mogę być pierwszą, która złoży wam życzenia? - spytała cichym głosem.

Annie aż zatkało, nie wiedziała, czy bardziej ze zdumienia, czy złości.

- Podśluchiwałaś pod drzwiami! - krzyknęła. - Podglądałaś nas przez dziurkę od klucza? Ty głupia małpo! - dodała, rozglądając się, czy nie ma pod ręką czegoś, czym zdołałaby zdzielić siostrę.

- Wiesz przecież, że mam dopiero czternaście lat - odpowiedziała Sheena, wyszczerzając zęby w najniewinniejszym możliwym uśmiechu. I cała złość zesła z Annie niczym spuszczone z balonu powietrze. Jedną ręką nadal obejmując Sinclaira, drugą przytuliła młodszą siostrę.

- Będę twoją druhną, dobrze?

- Dobrze, mała - powiedziała Annie, czując, że łyzy z coraz większą mocą napływają jej do oczu.

- I będę mogła napić się szampana?

- Tylko łyczek, Sheena. Najwyżej dwa.

W tym momencie z głębi domu dobiegł krzyk babci:

- Sheena, gdzie jesteś? Daj spokój, Annie, nie wtrącaj się w jej sprawy!

Sheena jednak nie miała zamiaru się podporządkować:

- Babciu, chodź do nas! Annie wychodzi za mąż.

- Co? - odkrzyknęła starsza pani, choć w jej głosie trudno byłoby się doszukać tonu zdziwienia.

- Edward, słyszałeś? Twoja córka wychodzi za mąż! Rzuć tę gazetę i chodź tu.

Kiedy oboje wychodzili na ganek, pod domem zatrzymał się stary, rzęzący ford, z którego wysiadła matka Annie. Na jej twarzy widać było zmęczenie po całonocnej pracy.

- Annie, ty tutaj? Co się dzieje? - zapytała, patrząc w lekkim osłupieniu na rodzinne zgromadzenie.

- Mamo, przyjechałam tu... przedstawić ci mojego narzeczonego, Sinclaira Drummonda.

Matka Annie stanęła przed gankiem jak wryta. Ręce, w których niosła jakieś niewielkie zakupy, opadły jej wzdłuż ciała i z jednej z toreb wypadło na ziemię jabłko.

- To wielki zaszczyt dla mnie móc panią poznać - powiedział Sinclair, przyklękując przed panią Sullivan na jedno kolano, by podnieść owoc toczący się po ziemi.

- Dobry Boże! - powiedział na ten widok ojciec Annie. - Ostatni raz to chyba ja przed tobą klękałem jakieś trzydzieści lat temu.

Postanowili pobrać się w ciągu miesiąca, najlepiej, jeśli to tylko możliwe, w samym Dog Harbor, w gronie najbliższych, dobrze życzących im osób.

- Czuję się trochę staromodnie - przyznał, gdy jechali na Long Island. - Zabieram cię od rodziców i wiozę, jak rycerz, do swojego zamku...

- Przynajmniej nie musiałeś mnie porwać czy brać siłą - odpowiedziała z uśmiechem Annie.

Podróż z miasteczka rodzinnego Annie w Connecticut do posiadłości Drummondów w Dog Harbor zajęłaby najwyżej czterdzieści minut, gdyby między kontynentem a tą akurat częścią Long Island chodził prom. Ale nie chodził, więc musieli zrobić objazd aż po Bronx i stąd, od zachodu wjechać na wyspę. Podróż zabrała im zatem ponad dwie godziny, ale bynajmniej nie nudzili się - mieli sobie bardzo wiele do powiedzenia.

Sinclair chciał jak najszybciej pokazać Annie pozostałe swoje włości - domek narciarski w Colorado, niewielką willę w północnej Kalifornii z przepięknym widokiem na ocean oraz domek myśliwski w Michigan. Annie uspokajała go, że przecież mają przed sobą całą resztę życia, więc zdążą.

- No tak, no tak - przyznawał jej rację Sinclair. - Ale tak bym chciał jak najszybciej nadrobić te stracone sześć lat.

- Śpiesz się powoli - przytoczyła łacińską sentencję Annie. - Poza tym... dla mnie te lata nie były aż tak do końca stracone.

- Jak to?

- Czekanie na coś też potrafi być przyjemne - odpowiedziała. - Pod warunkiem, że to coś się w końcu ziści.

- Och, Annie, jak mi z tobą dobrze! - aż jęknął Sinclair, po czym zmitygował się, bo przez zapomnienie omal nie wjechał komuś w zderzak.

- Uważaj, Sin! - syknęła przerażona nie na żarty Annie. - Nie jesteś przecież nowojorskim taksówkarzem!

Zaparkowali pod domem. Annie odruchowo chciała wysiąść i skierować się do bagażnika po swoje torby, ale Sinclair jej nie pozwolił.

- Jest taki stary zwyczaj Drummondów, że swoje żony czy narzeczone wnoszą do domu - powiedział, po czym, zanim Annie zdążyła zaprotestować, był już u jej drzwi, które otworzył, po czym jednym ruchem wyciągnął Annie z samochodu i wziął na ręce. Z kluczem od domu w zębach wszedł na ganek. Po chwili byli już w środku; rytuał został dopełniony.

- A kto będzie teraz twoją służącą? - zapytała z filuternym uśmieszkiem Annie.

- Teraz dla odmiany ja będę twoim służącym. Przez jakiś czas, a potem zobaczymy, może kogoś wynajmiemy, zwłaszcza jeśli szybko dorobimy się dzieci.

Dzieci, pomyślała Annie. Jak on szybko planuje! Ale w sumie... czemu nie? Po to się w końcu wychodzi za męża, by mieć dzieci.

Pani Drummond i Vicki wyjechały z Dog Harbor zobaczyć jakąś dopiero co otwartą, kultową galerię sztuki, a przy okazji znajomych gdzieś aż pod Filadelfią i miały wrócić dopiero następnego dnia w południe. Annie nie miała najmniejszych wątpliwości co do tego, że obie panie chciały w ten sposób dyskretnie zostawić Dog Harbor na tę noc na wyłączny użytek jej i Sinclaira. Na stole w salonie zostawiły jednak kartkę, na której wielkimi literami napisały flamastrem: „Znalazłyśmy go”!

- Kielich...? - zapytała sama siebie Annie.

- A cóżby innego? - odpowiedział pytaniem Sinclair.

- A gdzie on jest? - spytała Annie, rozglądając się dookoła.

Nie musieli długo szukać. Na stoliku przed kominkiem leżało otwarte pudełko z czymś zawiniętym w szmatkę z charakterystycznym wzorem szkockiej kraty. Podeszli i przez chwilę stali wpatrzni w zawiniątko.

- Myślę, że to ty powinieneś rozpakować - powiedziała Annie. - Przodkowie patrzą teraz na ciebie z nieba.

Sinclair wziął w ręce zawiniątko i zaczął je rozwijać. Mimo że sam nie traktował legendy rodzinnej z wielką powagą, czuł wzruszenie, gdy wydostał ze szmatki niepozorną, chropowatą, pokrytą w wielu miejscach śniedzią metalową tulejkę.

- To ma być to? - zdziwiła się Annie. - Przecież to nie przypomina w ogóle kielicha?

- To pewnie jego nóżka - powiedział Sinclair. - Tak jak myślałem, podzielili go w najbardziej logicznie rzucający się sposób: na podstawę, trzon i czarę kielicha. Czy może nawet nie musieli dzielić, bo pewnie od początku składał się z trzech części. Patrz, końcówki trzonu wyglądają na nietknięte i założę się, że pasują do odpowiadających im otworów w podstawie i w czarze kielicha. Gdyby tylko dało się je znaleźć...

- Widzę, że zaczęło ci na tym zależeć... - zauważyła z nutką sarkazmu w głosie Annie. - Jeszcze nie tak dawno proponowałeś, by kupić jakiś stary, pordzewiały kielich na pchlim targu, rozdzielić go na kawałki i fragment sprezentować twojej mamie jako niby znaleziony na strychu.

- No tak - przyznał Sinclair. - To był bardzo zły pomysł. Pomysł, jaka by była wpadka, gdybyśmy faktycznie taką kupioną gdzieś nóżkę kielicha podrzucili mamie jako autentyk, a ona by potem próbowała ją dopasować do odnalezionych w Szkocji i na Florydzie pozostałych części?

- Najpierw musiałyby je odnaleźć.

- Już ty się o to nie martw, moja matka poruszy niebo i ziemię, żeby je odnaleźć.

- To może jednak pojedziesz do Szkocji? - zapytała Annie. - Skoro zaczęło ci zależeć...

- Niestety, nie mógłbym jej tego zrobić. Byłoby to z mojej strony nieuczciwe - odpowiedział Sinclair z wyraźnie zatroskaną miną.

- Jak to? - zapytała zaskoczona Annie.

- Ponieważ od paru godzin mam bardzo silne, graniczące z pewnością przekonanie, że klątwa przestała działać. Kielich nie jest już mi zatem do niczego potrzebny.

EPILOG

- Katherine, nie trzeba było! - powiedziała Annie, biorąc w ręce paczkę owiniętą w ozdobny papier. - Do świąt jeszcze parę dni...

- Nie potrzebuję specjalnej okazji, żeby dać skromny prezent mojemu wnukowi - odpowiedziała, udając lekką obrazę pani Drummond.

Do świąt zostało jeszcze kilka dni, ale choinka w domu na Dog Harbor otoczona już była prezentami po wysokość dolnych gałęzi.

- Jestem może trochę niecierpliwa, nic na to nie poradzę. Ale już tak bym chciała zobaczyć te prezenty w rączkach naszego miśka - mówiła dalej pani Drummond, gdy Annie wyjmowała z paczki ubranko dla niemowlaka ze wzorem w małe stateczki.

- Młodemu Drummondowi nie powinno zbywać na niczym - mówiła dalej autorytatywnym tonem pani Drummond. - A, właśnie, widziałam na promocji sanki. Myślicie, że warto kupić?

- Zdecydowanie nie - włączył się w rozmowę Sinclair.

- Jak to?

- Na naszym strychu zapewne znajdą się niejedne i to nie gorsze od nowych. Poza tym nasz misiek na pewno nie będzie w stanie usiąść na sankach przez najbliższy rok.

- No tak. Macie absolutną rację. Tak bym chciała jednak coś...

- Katherine, mamy już dosłownie wszystko, co jest nam potrzebne do szczęścia - zapewniła panią Drummond Annie.

- Skoro tak mówisz, kochanie... Gdyby tak jeszcze znaleźć pozostałe części kielicha!

- Ależ, mam... - zaprotestował delikatnie Sinclair. - Mówiłem ci przecież, że klątwa przestała działać. Jestem tego pewien.

- Przestała może działać na ciebie... - odparła nieco obruszona pani Drummond. - Ale idę o zakład, że nadal męczy pozostałe gałęzie rodu, a poza tym... nie wiadomo, czy i tu, u nas, nie ożyje po latach; obym była złym prorokiem! Miałam zresztą niedawno sen, przedwczoraj chyba. Śnił mi się któryś z przodków Drummondów, ale który, nie potrafię powiedzieć. Leżał w kamiennym grobie w podziemiach jakiegoś kościoła i prosił mnie,

żebym kontynuowała poszukiwania. Tak czy inaczej, na pewno nikomu nie zaszkodzi, jak złożymy ten kielich, zatem zaraz po świętach zacznę wysyłać mejle i telefonować na Florydę i do Szkocji. Już ja im tak łatwo nie popuszczę!

Sinclair, odgrywający teraz rolę gosposi, przyniósł z kuchni misę pełną orzechów włoskich, a także zabytkowego żeliwnego dziadka do orzechów, znalezionego oczywiście na strychu.

- Oj, jak mi tu dobrze z wami - westchnęła pani Drummond. - Miejsce to jest teraz tak pełne życia!

- To prawda - powiedziała Annie. - Odkąd Sin wprowadził się na stałe, wszystko tu jakoś ożyło. Wcześniej miałam trochę poczucie, że to scena teatralna, na której czasami w weekendy odgrywane są spektakle. To już nie ten sam dom, z którego wyjeżdżałam w czerwcu.

- Na szczęście, nie ujechałaś daleko - powiedziała pani Drummond. - Wszystko przez tego mojego wiecznie niedojrzałego syna. Ale teraz przynajmniej wiem, że jest w dobrych rękach. Gdyby tak jeszcze ten kielich, żeby trzej bracia mogli spokojnie zasnąć w grobach...

- Mamo! - westchnął z jękiem Sinclair. - Na Boga, daj już spokój!

Jednak wszyscy wiedzieli, że to jeszcze nie koniec tej historii...

